№ 12 Warszawa, dnia 8 (20) Marca roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Podróż do kraju Cyganów,

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Dalszy ciąg).

Tissot w opisie podróży swojej, niewielki wstęp poświęcił Cyganom, ale obraz tych koczowników skreślony jego piórem, mimo szczupłych rozmiarów tak barwny i żywotny iż daje nam wyborne pojęcie tego dziwnego społeczeństwa.

Idźmy w ślady za autorem, zobaczmy pierwsze jego spotkanie z Cyganami na skraju lasu bakuńskiego.

Od Zircza, mówi podróżnik, las zgęszcza się coraz bardziej, rzekłbyś że drzewa sprzysiężone przeciw człowiekowi, z umysłu zamykają mu przystęp. Po obu stronach drogi dęby, jodły, modrzewie i jesiony, tworzą jakoby czarny mur zębatym najeżony wierzchołkiem. Zjeżdżamy wreszcie z góry, drzewa coraz to rzadsze, nakoniec szeroka przed nami roztacza się dolina. Panuje nad nią wzgórek uwieńczony gruzami starożytnego zamku, przez poszarpane mury, przebija częsty błękit. Jedyna baszta wyszczerbiona w górze, sterczy zwieszona po nad parowem. Siwy orzeł ulatywał nad ruiną, jakby żywe wspomnienie jej dawnej potęgi i chwały. Gdyśmy przejeżdżali u stóp wzgórza, pieśń z wesołą przygrywką potrąciła nam ucho.

Woźnica wstrzymał konie, gędźba grzmi coraz to rozgłośniej...

— Zbójcy nie hałasują tak przy drodze, rzecze Madziar, to pewnie Kanasze albo cygany.

— Przymocuj bryczkę z końmi do drzewa, rzekłem, idźmy tam, dostaniesz dobry tryngielt.

Woźnica wahał się chwilę, nie czekając na odpowiedź wyskoczyłem co żywo z bryczki, zwróciłem się w stronę wzgórza, i on poszedł też za mną.

Trudny był przystęp po ziemi zawalonej gruzami wreszcie spostrzegłem z boku wschodki, na pół zarosłe chwastem i cierniskiem. Dotarliśmy nakoniec do wnętrza powalonego gmachu. Tu najdziwniejszy obraz stanął mi przed oczyma. Wyobraźmy sobie liczną grupę cyganów, w malowniczych postawach, jedni siedzą, drudzy leżą na ziemi, dzieci zupełnie nagie, mężczyźni w czerwonych kaftanach, z srebrzystemi guzami, kobiety poobwijane w jakieś jaskrawe szmaty, stare z twarzą pomarszczoną, ciemno żółtą, jakby zerdzewiałą, z błyszczącem okiem jak rozżarzony węgiel, istne czarownice, palą tytuń z drewnianych fajek. Wszystkie te kobiety siedziały rzędem w koło wielkiego ogniska, patrząc na nie zdaleka, rzekłbyś że to grządka różnobarwnych tulipanów. Nad ogniem warzy się woda w kotle, pieką różne mięsiwa. Woń tłuszczu zmieszana z wonią czosnku i cebuli, rozbiega się w powietrzu. W głębi, przyparty do muru, sterczy namiot uwieńczony gałązkami jedliny, po prawej stronie, na zwale kamiennym usadowiła się orkiestra, złożona z czterech grajków.

Przybycie nasze nie zdziwiło nikogo, skrzypki wciąż rzępoliły, basetla wtórowała, wszyscy obecni śpiewali chórem pieśń obrzędową. Później wytłumaczono mi tę zwrotkę, oto mniej więcej jej słowa.

> Jakże piękna krasawica,
> Czarne oczy, gładkie lica,
> Lekko pląsa po murawie,
> Nóżką ziemi nie tknie prawie,
> Jak słoneczko świeci cała,
> Spokój serca mi zabrała.

Naczelnik cygańskiej gromady, pierwsze zajmował miejsce, siedział na stosie rogoży i starych wojłoków. Ubrany był paradnie: miał na głowie trójkanciasty kapelusz szamerowany srebrnym galonem, opasany był szarfą wyszytą w jakieś godła. Woźnica poprowadził mnie do niego, oznajmił że mówię po niemiecku. Wsunąłem cyganowi w rękę parę guldenów, poczem znajomość nasza łatwo się zawiązała. Posadził mnie obok siebie i zaprosił na ucztę.

Cyganie obchodzili weselne gody, zwane *piaw*. Wyraz ten w ich języku, określa zarówno ucztę, jak i weselny obrzęd. *Me piawa*, znaczy właściwie *piję*.

Mnóstwo obcych cyganów zebrało się na uroczystość. Ktokolwiek przybędzie w dniu tym lubo nie zaproszony, gościnnego dozna przyjęcia.

Małżeństwo odbywało się między dziewczyną z miejscowego obozu a młodzieńcem z innej bandy, która niedawno wyemigrowała do Niemiec. Obadwa obozy, parę lat temu spotkały się pod lasem, chłopiec upodobał sobie dziewczynę, serce dziewczynki uderzyło nawzajem. Rodzice sprzeciwiali się związkom, dzieci nie zważając na to, uciekły w świat i do trzeciej przyłączyły się bandy. Po kilku tygodniach zbiegi wrócili do rodziców, błagając przebaczenia. Ojciec dziewczyny, przywitał chłopca silnym policzkiem i gradem słów obelżywych. Pozwolił mu jednak zostać, nie w charakterze zięcia, ale prostego sługi. Od dwóch lat służy wiernie i pilnie przebłagany ojciec wyprawia wreszcie wesele parze młodej.

Podczas gdy naczelnik opowiadał mi te szczegóły, przyglądałem się bacznie sąsiadom. Niektórzy z nich mieli włos kędzierzawy, wargi grube, cerę podobną do hawańskiego cygara. Byli to prawdziwi cyganie *Soha Sehopes Kerawormm*, to jest nie pomieszani z obcem plemieniem. Inni, u których typ mniej był uwydatniony, mieli rysy regularniejsze, włos gładki, cerę śniadą, owal twarzy więcej europejski. O ile stare kobiety rażą szpetnością, o tyle młode piękne i pełne wdzięku. Kibić ich

rosła, wysmukła, ruchy giętkie i zgrabne, blask jakiś czarujący wybiega z pod szeroko rozwartych powiek. Strój najpiękniejszych: składał się ze szkarłatnego gorseciku, z koszuli naszywanej złocistemi blaszkami, z bursztynów na szyi, i czerwonych wstążek wplecionych w bujną kosę. Inne przybrane były jak węgierskie wieśniaczki, u innych znów wielka kwiecista chustka, opasana w koło bioder, tworzyła powłoczystą spódniczkę.

Muzyka przygrywała bez ustanku. Naczelnik powstał, wyrzekł kilka słów do zgromadzonych, poczem odchylono zasłonę namiotu, młodzi małżonkowie ukazali się wreszcie. Pan młody ma rok ośmnasty, panna młoda szesnasty, cyganie żenią się prawie w dziecinnym wieku.

Dorodny młodzian, ubrany był całkiem biało: włos czarny, połyskujący spadał mu w długich kędziorach na plecy i ramiona. Nogi miał bose, głowę niepokrytą. Panna młoda w czerwonym gorseciku ładnie lecz dziko wyglądała. W ciemnych splotach jej włosów błyszczały jakieś miedziane blaszki, na piersi spadał naszyjnik z zielonych szkiełek, srebrny pierścień połyskał na jej palcu.

Oboje trzymając się za ręce, przystąpili do naczelnika, uklękli przed nim, zamienili pierścionki. Stary cygan podjął wtedy dzbanek pełen wina opleciony gerlandą kwiatów, wylał kilka kropel na głowy nowożeńcom, wniósł toast za ich pomyślność, a wychyliwszy go do dna wyrzucił dzbanek w górę. Naczynie gliniane roztrzaskało się w drobne czerepy, obliczono je pilnie, z wielkich ich liczby wróżono o szczęściu młodej pary.

Orkiestra po chwilowej przerwie zaczęła grać na nowo; obecni przywtórzyli głośnym chórem, dziatwa pląsała, młodzi małżonkowie krzątali się koło wieczerzy.

Chciałem zabawić dłużej pomiędzy cyganami, ale woźnica tak silnie nalegał, że rad nie rad musiałem puścić się w dalszą drogę, zostawiwszy upominek państwu młodym. Muzyka zarówno obdarzona, pożegnała mnie hucznym czardaszem.

Kto chce poznać cyganów, powinien przypatrzéć im się w Węgrzech. Tu wolni od prześladowania zachowali właściwe sobie cechy. Łatwi w obejściu dobre nieraz okazują skłonności. Jeśli który zaciągnie się do służby, można liczyć na jego wiarę. W każdym zamku węgierskim jest ich przynajmniej kilku; używani zwykle do dalekich posyłek, przenoszą nieraz znaszne summy i nie ma wypadku aby okradli pana. Miłość rodziny głęboko zakorzeniona w tem tułaczem plemieniu.

Władza zwierzchnika rozciąga się do dzieci, wnucząt, młodszych braci i całego ich potomstwa; sieroty po krewnych znajdują w nim opiekę. Żaden cygan nie może opuścić obozu, ani pojąć żony, nie opowiedziawszy się wprzód naczelnikowi. On sam wytyka drogę, oznacza etapy, rozdziela prace, i pobiera zapłatę. Ale i zwierzchnik nic nie przedsięweźmie, bez naradzenia się z żoną. Rada „starej matki", szanowana jakby wyrocznia.

Małżeństwo u cyganów łatwo się zawiązuje, wolno bratu poślubić siostrę własną. Rozwód niemniej też ułatwiony. Jeźli żona nie podoba się mężowi, ten ma prawo opuścić ją, obowiązany tylko uwiadomić o tem zwierzchnika. Żona niewierna nosi piętno hańby niezatarte, twarz jej nacinają ostrym nożem. Niewierny mąż jeszcze ostrzej karany, przestrzelają mu rękę lub nogę.

Jeśli cygan pozaciąga długi których wypłacić nie może wypędzają go zobozu, odsądzają od czci i wiary. Z takim *infamisem* niewolno utrzymywać stosunków; kolor zielony, który ma tu znaczenie symboliczne, odtąd mu zakazany.

Mało znane obrzędowe zwyczaje cyganów, zasługują przecież na uwagę. Nowonarodzone dziecię pocierają oliwą i trzymają chwilę nad ogniem. Jest to chrzest w ich pojęciu.

Jak cygan umrze, ubierają ciało jak mogą najlepiej, zanoszą je w głąb lasu i zagrzebują w dole. Podczas gdy jedni sypią ziemię na trupa, rodzina śpiewa chórem.

Zstępuj, zstępuj w dół głęboki,
A świat wielki, świat szeroki.

To znaczy; jesteś niczem, ustąpże miejsca drugim. Bliżsi krewni zmarłego, na znak żałoby przez cały rok częstokroć wstrzymują się od mięsa.

Gdy umrze zwierzchnik, cała rodzina zawodzi głośnym jękiem i płaczem. Muzyka przygrywa podczas pogrzebu. Kładą zmarłego do trumny wyciosanej w pniu zmurszałego drzewa. Nad trumną dają ognia z pistoletów i dubeltówek. Wraz z umarłym zakopują broń jego. Grób polewają piwem, wódką lub winem. Sadzą na nim drzewka aby rozpoznać miejscowość. W roku następnym przychodzą tu znów i wyprawiają stypę.

Cześć dla umarłych tradycyjnie przechowała się między nimi. Nigdy cygan nie przejdzie koło mogiły bratniej, bez pokropienia jej winem lub wódką. Jeżeli zaklnie się „na umarłych" *ap i mulendi*, można mu bezpiecznie zawierzyć. Pomimo tej czci, nie mają cyganie wyraźnego pojęcia o duszy nieśmiertelnej. W ogóle wiara ich religijna słabo określona, ztąd poszło przysłowie węgierskie: „Kościół cyganów zbudowany ze słoniny, psy go zjadły i nic nie zostało. Szczególną cześć mają dla ziemi, widzą w niej matkę karmicielkę. Wierzą zabobonnie w złowrogie wpływy czarnych ptaków, grzmot przejmuje ich trwogą. Pojęcia chrześciańskie dziwnie u nich pomieszane z pogańskiemi; wyobrażają sobie że Bóg Ojciec umarł, a Syn Boży objął po nim panowanie nad światem.

Trzy są kategorye Cyganów Węgierskich. Jedni chodzą boso, z gołą głową; drudzy w niedzielę tylko noszą buty i czapkę; trzeci nakoniec, używają codzień pokrycia głowy i obuwia. Z tych pierwsi prowadzą życie koczownicze, drudzy trzymają się mniej więcej miejsca, w danej tylko porze roku wychodzą na wędrówkę: trzeci zaś stale osiedleni. Ci najucywilizowańsi ze wszystkich. Muzyka stanowi główne ich zajęcie. Wykonywają doskonale narodowe arye węgierskie, ztąd wziętość ich w kraju bardzo wielka. Żadna tu uczta nie obejdzie się bez orkiestry cyganów. Oni to przodują w pochodach elektoralnych, oni przygrywają na weselu, tak w chacie jak w dworku mieszczańskim, a nawet w pałacu magnata. Grają z nieporównaną werwą, nie trzymając się zwykłych prawideł sztuki, nie znając pierwszych jej zasad. Muzyka ich wolna jak oni sami. Nie szukać w niej pośrednich modulacyi ani umiejętnych akordów. Z jednych tonów przechodzą nagle w drugie. Z eterycznych wyżyn nieba, rzucają się w głąb piekielnych otchłani, od żałosnego jęku przechodzą w grzmiący dźwięk bojowego marsza. Ich melodye rzewne a zarazem huczne, pełne żaru, a tchnące spokojem, to cię wprawią w gorączkowy szał, to znów pogrążą w bezdennem morzu tęsknoty. Cyganie umieli oddać w nich główną charakterystykę madziarskiego plemienia.

Za przybyciem do Węgier pochwycili oni muzykę madziarską i stworzyli z niej oryginalną sztukę, gwałtowną, zawadyacką, zaprawną i śmiechem i łzami. Nad wszystkie instrumenta przekładają skrzypce, grają też na basetli, na klarnecie i cymbałach, niektórzy przyjęli harfy do swej orkiestry, gardzą tylko ciężkim fortepianem.

(d. c. n.)

Tajemnica pieśni.

Wiosna życia szła nam smutnie,
Groźne burze były w lecie,
Jednak hucznie brzęczą lutnie,
I śpiewaków nie brak w świecie.
Ale pieśń ich nie zwycięzka,
Niewolnicza jakaś ona;
Bo dziś pieśni czarnoksięzka
Tajemnica zatracona.
Kto ją znajdzie, kto odkryje,
Temu krzykniem: niech nam żyje!

Pieśni dźwięczne płyną rzeką,
Pełne wiedzy i nauki,
W świat szeroko i daleko
Niosą je dzienników druki.
Ale czemuż, czemu w świecie
Nie powita nikt ich czule,
I świat każe żyć poecie
Nie w pamięci, a w bibule?
Bo dziś pieśń już niezachwyca,
Och! to pieśni tajemnica.

A jednakże starzy wieszcze,
Gdy bywało brzękną w lutnie,
Każdy czuł tajemne dreszcze,
Każdy modlił się pokutnie;
Każdy w duchu czuł swobodę,
Znał co dzieje, wielkość, sława;
Gotów w ogień, gotów w wodę
Rzucić się jak pieśń kazała.
Taka pieśń i dziś zachwyca,
Och! to pieśni tajemnica.

Wiek nasz zimny — nie chce cudu,
Więc niedano mu go w darze;
Nie zjawiają się w śród ludu
Ni prorocy, ni pieśniarze.
Dziś mędrkowie, własnej głowie
Więcej wierzą jak w natchnienie,
I duch ludzki przez pustkowie
Lecąc traci swe promienie.
Gdzież natchnienia dziś krynica?
Och! to pieśni tajemnica.

Autor pamiątek z Litwy.

EUGENIA LAWAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Nagle turkot karety zajeżdżającej przed dom zwrócił uwagę panien.

— Pani hrabina de la Fare przyjechała, zawołała Klementyna. Zadziwia mnie to mocno, bo w razie potrzeby przysyła po nas powóz, skoro chce robić obstalunek nowych kapeluszy.

Głos dzwonka przerwał dalszą rozmowę, nakłaniając panny do pilniejszej nieco roboty.

Pani de la Fare pod pozorem obejrzenia nowego koloru wstążek, weszła do pracowni. Rzuciwszy okiem po siedzących pannach, odrazu poznała Eugenię, chociaż widziała ją po raz pierwszy w ży-

ciu. Bohaterka nasza miała tak coś szlachetnego w swo jej postawie, wyrazie twarzy i każdem poruszeniu, że łatwo ją można było wyróżnić z pośród największych tłumów rówienniczek. Wkrótce jednak bystre oczy niewieście wykryły z łatwością ślady łez i wyraz wielkiego cierpienia na twarzy biednej panienki.

Znając dokładnie z opisu historyą jej przeszłości, doznała w sercu prawdziwego dla niej współczucia. Wzbudzone poprzednio podejrzenie i niechęć prędko rozwiał widok postawy pełnej skromności i niewinnego spojrzenia Eugenii.

Bohaterkę naszą wezwano do salonu. Pani de la Fare z całą zręcznością kobiety wielkiego świata umiała wyprowadzić ją z kłopotu, starając się wzbudzić uczucie zupełnego dla siebie zaufania. Główuym celem rozmowy, była chęć zbadania rzeczywistego stosunku Eugenii z d'Avesnem; od tego zawisło ostateczne postanowienie hrabiny.

— Osoba dla której mam wiele szacunku i wiele przyjaźni, mówiła pani de la Fare, opowiedziała mi historyą życia pani. Wzruszyła mnie nadzwyczajnie nagła zmiana jej położenia, jej walka wytrwała ze złowrogim losem, a może najwięcej dowody jej wielkiego poświęcenia dla przybranej matki. Radabym o ile moja możność dozwoli ułatwić pani dalszą pielgrzymkę żywota, przez nastręczenie jej odpowiedniejszego zajęcia. W tym celu pomówmy z sobą z największą otwartością. Jedynie tą drogą można wywołać stosunek szczerej przyjaźni i prawdziwej życzliwości. Niech więc pani raczy mi powiedzieć, jak dawno znasz p. d'Avesna i w jakich warunkach zawiązaną była pierwsza z nim znajomość?

Eugenię nadzwyczajnie zdziwiło zrobione zapytanie; hrabina spostrzegła to i zaraz dodała:

— Przepraszam cię za moją śmiałość. Stawiam pytania może niewłaściwe, ale z kolei gotową jestem opowiedzieć wszelkie szczegóły choćby najdrażliwsze z mego życia.

— Zrobione zapytanie przez panią hrabinę, odrzekła Eugenia, zadziwiło mnie trochę, bo pana d'Avesna prawie nie znam, miałam bowiem raz jeden sposobność mówienia z nim kilka minut, a od tego czasu nie widziałam go wcale nawet z daleka.

Hrabina uścisnęła serdecznie dłoń Eugenii, a nie szczędząc przyjaznych słówek, prosiła o opowiedzenie najdrobniejszych szczegółów, jedynego spotkania z d'Avesnem.

Eugenia z rumieńcem wstydu, nie zataiła ani jednego słówka: wypowiedziała z uczuciem wielką swoją wdzięczność dla d'Avesna, za uchronienie jej czas jakiś od ustawicznych zaczepek nieweczesnych zalotników.

W dźwięku jej głosu i wyrazie twarzy było tyle prawdy, że hrabina nietylko uspokoiła się zupełnie, ale postanowiła jej dopomódz do otrzymania wieńca cnoty, i wziąć do swego domu jako damę do towarzystwa.

Hrabina jednak, chciała dokładnie zbadać wszelkie szczegóły życia Eugenii zanim otworzy jej dom swój. Poznawszy więc na jej twarzy ślady łez jeszcze niezaschłych, zapytała o przyczynę takowych.

— O ile moja możność dozwoli, mówiła, dołożę wszelkich starań do zniweczenia źródła pani smutku, i jedynie dla tej przyczyny posuwam tak daleko moją niedelikatność.

Eugenia zapłonęła żywym rumieńcem; głuche łkanie nie pozwoliło jej wymówić ani jednego wyrazu.

Hrabina zaczęła przypuszczać, że nic innego, tylko jakaś miłość nieszczęśliwa była źródłem boleści panienki, która nietylko nie kochała d'Avesna, ale kochała kogo innego. Jednocześnie niedaleko magazynu zaszedł wypadek ważny w następstwa.

Jeden z podżyłych kawalerów, nazwiskiem Bouleau, zajęty od rana do wieczora zbieraniem nowinek, widząc Karola Pigrenier karmiącego psa Eugenii, pospieszył zawiadomić o tem d'Avesna.

D'Avesnes znając dobrze skłonność starego kawalera do przesady niewiele mu ufał, ale Eugenia zostawała niejako pod moralną opieką szlachetnego młodzieńca, zamierzył więc skarcić niepoprawnego napastnika, rzucającego cień na postępowanie najzacniejszej dziewicy. Pod wpływem tej myśli poszedł szybko ku Pigreniem'u, mówiąc:

— Czy to dla zabicia czasu wynalazł pan tak przyjemną zabawkę karmienia psów przed ogrodami publicznemi.

Zapytany odwrócił głowę szybko, a poznawszy d'Avesna, i uważając go za tajemnego współzawodnika, odpowiedział z nadzwyczajną śmiałością.

— Któż z nas w miłości choćby najbardziej przelotnej, nie popełnił jakiegoś szaleństwa. Karmię psa czyniąc zadosyć prośbie pięknej jego właścicielki.

— Więc jesteś szczęśliwym wielbicielem panny Eugenii? zapytał Bouleau, czyniąc nacisk znaczący na wyrażenie szczęśliwym.

— Czyż ludzie naszego stanowiska mogą znajdować długi opór w biednych robotnicach? odrzekł niedbale Pigrenier.

— Cóż ty na to Józefie? zapytał Bouleau śmiejąc się szyderczo.

— Odpowiedź moja krótka, rzekł d'Avesnes głosem groźnym i stanowczym. Ten pan jest kłamcą, tym niegodziwszym że działa z rozmysłem, wiedząc dobrze jak wielką krzywdę wyrządza niewinnej zupełnie osobie.

— Pan znieważasz mnie! zawołał Karol Pigrenier przystępując w największem uniesieniu do swego przeciwnika.

— Proszę zostać na miejscu, zawołał z dumą d'Avesnes. Nie należę do rzędu ludzi robiących burdy uliczne. Wiadome panu moje nazwisko i miejsce zamieszkania, a to powinno być wystarczającem. Od zdania mego nie odstępuję, i powtarzam raz jeszcze jesteś oszczercą!

Pigrenier osłupiał, oburzenie zatamowało mu mowę. Przyszedł jednak wprędce do siebie.

— Bardzo dobrze... bardzo dobrze mój panie, bąkał hamując uniesienie. Zdasz mi z brutalnych swych słów rachunek...

— Czekam i nie odmówię, odrzekł d'Avesnes. Wypadek ten ściągnął uwagę kilku przechodniów, którzy nawzajem obudzili ciekawość pani de la Fare stojącej wówczas przy oknie. W tej chwili Bouleau przedarł się ze środka tłumów. Hrabina dała mu znak aby przyszedł na górę. Stary kawaler z największym pośpiechem i zadowoleniem spełnił jej życzenie a wypytywany o powody zgiełku ulicznego, starał się więcej niż kiedykolwiek przyozdobić opowiadanie różnemi dodatkami własnego wynalazku. Wedle niego dwaj młodzieńcy byli współzawodnikami o serce pięknej Eugenii, czego najlepiej dowodzi wyzwanie na pojedynek.

D'Avesnes zatem widocznie kochał Eugenię, udzielał jej poparcia do otrzymania wieńca cnoty, aby otoczywszy ją pewną aureolą, tem śmielej poprosić o jej rękę. Inaczej nie umiała wytłomaczyć działania młodzieńca, narażającego życie własne dla biednej robotnicy. Zmartwienie wyryte na twarzy Eugenii, jej łzy obficie przelane, były prostem następstwem chwilowego nieporozumienia dwojga kochanków.

Karol Pigrenier zalotami swemi wywoławszy zazdrość d'Avesna, spowodował gniew tegoż, wymówki, a następnie dotkliwą boleść panienki.

Pod wpływem podobnych myśli wyobraźnia hrabiny wzburzona, wywołała wzgardę dla biednej Eugenii, jako pokrywającej kłamliwem opowiadaniem rzeczywisty swój stosunek z d'Avesnem. Zazdrość i gniew przygłuszyły chwilowo inne szlachetniejsze uczucia w sercu pani de la Fare. Była ona prawdziwą Francuzką, zdolną do uniesienia, wyłączającego wszelkie poczucie sprawiedliwości. Pod wpływem takiego stanu, hrabina przeszła dumnie około Eugenii, zadziwionej nadzwyczajnie tak nagłą zmianą jej obejścia.

— Panna masz tylu przyjaciół i tylu protektorów, mówiła z uśmiechem złośliwym na ustach, że w podobnych warunkach poparcie z mej strony jest zupełnie zbyteczne a nawet niemożliwe.

Pani de la Fare schodziła wolno po schodach, przystanęła nawet chwilowo w sieni celem zawładnięcia wzburzonemi uczuciami o tyle przynajmniej aby odzyskać pokój zewnętrzny. To też wychodząc z sieni na ulicę nadała twarzy zwykły wyraz pełen wdzięku i powabu. Dostrzegłszy stojącego d'Avesna około swej karety, powitała go uprzejmie mówiąc:

— Jakaż jestem roztrzepana, zapomniałam zupełnie o umówionem spotkaniu w mieszkaniu pańskiego wuja. Proszę mi wybaczyć, ale pomimo najszczerszej chęci nie mogę nic uczynić dla biednej Eugenii. Pan Chevalier jest nieugięty a ja nie śmiem nalegać nie chcąc sprawić mu najmniejszej przykrości. Pan nie posądzi mnie o złą wolę, wszak prawda?

Na pożegnanie skinęła hrabina główką bardzo zgrabnie i grzecznie ale nadzwyczaj obojętnie. Uśmiech okalający jej usta nie miał innego znaczenia prócz zwykłej uprzejmości.

Nadbiegł w tej chwili Chevalier, witając hrabinę z oznakami największego uszanowania. Pani de la Fare przyjęła go z twarzą bardzo uradowaną:

— Zabieram pana z sobą, rzekła z najpowabniejszym uśmiechem, zostawiając chwilowo rękę swoją w dłoni p. Chevalier. Pozbawię pana niezawodnie przyjemniejszego towarzystwa, ale choć czasem trzeba zrobić ofiarę dla biednej wdowy, niemogącej dać sobie rady z rozmaitemi interesami, wymagającemi głowy więcej doświadczonej.

— Pani hrabino, mówił Chevalier promieniejący od szczęścia, wszystkie chwile oddam chętnie na jej usługi.

— Czy na prawdę? zapytała hrabina ze spojrzeniem czarującem.

— Pani hrabino, ręczę honorem, przysięgam, mówił Chevalier, sądząc że marzy.

Pobiegnę tylko na chwilkę do domu, bo utraciłem nie wiem jakim sposobem wstążeczkę legii honorowej.

— W pałacu moim zaradzimy temu brakowi.

— Obowiązany jestem nadzwyczajnie pani hrabinie za okazaną dobroć, rzekł Chevalier z wdzięcznością, ale i w drodze nie chciałbym odstępować od przyjętego zwyczaju.

— Zaradzimy wszystkiemu mówiła pani de la Fare po chwili namysłu, wejdziemy do sklepu i tam umieścimy na pańskich piersiach, drogocenny znak zasług przez pana położonych dla powszechnego dobra.

Skoro nareszcie obszyto czerwoną wstążeczką dziurkę od tużurka, pani de la Fare, nie rzuciwszy nawet okiem na stojącego opodal d'Avesna, siadła do karety wraz z p. Chevalier, a rącze konie poniosły ich szybko do wspaniałego wiejskiego pałacu.

Wszyscy obecni patrzyli z uśmiechem na biednego członka rady miejskiej, uszczęśliwionego z otrzy-

manych dowodów nadzwyczajnej życzliwości hrabiny. D'Avesnes wyzwany do walki byłby okazał należyte męztwo, ale zabrakło mu siły do zniesienia obojętności i zapomnienia. Łzy pobiegły do jego oczów. Wśród własnej jednak boleści, nie zapomniał o nieszczęśliwej Eugenii. Wieniec cnoty uznawszy za stracony, postanowił przy spokojniejszej nieco głowie, znaleźć inny środek do wydobycia jej z tak nieznośnego położenia.

Rozdział X.

Właścicielka magazynu spełniając ściśle rozporządzenie Bussona, nietylko wymówiła miejsce Eugenii, ale nadto pod najrozmaitszemi niesprawiedliwemi pozorami zatrzymała jej całą należytość tygodniową. Biedna panienka wracała do domu utraciwszy jedyny środek zarobku i nie mając za co kupić nawet chleba na dzień jutrzejszy. Cios odebrany jako pozbawiający ją utrzymania, niezaprzeczenie był okropny a jednak Eugenia zniosła go z jakimś dziwnym spokojem, nie wymówiwszy ani jednego słowa skargi, nie uroniwszy ani jednej łzy. Widocznie w głębi swej duszy po długiem wahaniu, powzięła zamiar stanowczy mający zabezpieczyć ją od dalszej męczarni.

Utracenie niespodziane ostatecznego zarobku dodało jej odwagi, rzekła bowiem ścicha jakby sama do siebie, ach! to i lepiej.

Gorączka paląca umysł i serce zawładnęła całem jej ciałem. Usta miała spalone, oczy świeciły niezwykłym blaskiem, a szczególna siność pokrywała jej oblicze. Towarzyszki pracy patrzały na nią z przestrachem, nie miały jednak odwagi uczynić najmniejszego zapytania.

Eugenia prawie bez pożegnania wyszła z zakładu. Ludzie obarczeni nieszczęściami stając się niemiłemi dla samego siebie, unikają towarzystwa z obawy nowych objawów nienawiści lub szyderstwa.

Zbieg okoliczności był przerażający. Nie miała nietylko najmniejszej nadziei poprawienia losu, ale odjęto jej jedyne choć niewystarczające środki utrzymania.

Niedosyć na tem, dobra jej sława narażoną została na szwank, w przekonaniu człowieka, którego pokochała pierwszą jedyną w swem życiu i najczystszą miłością. Była więc spotwarzoną, przyprowadzoną do nędzy przez złośliwość ludzi ścigających ją bez ustanku, a nie spotkała już nigdzie nietylko współczucia i poparcia, ale nawet sprawiedliwości należnej jej z wielu względów. Właścicielka magazynu wymówiła jej miejsce bez najmniejszej przyczyny; hrabina pożegnała ją niezasłużenie z szyderstwem, a nawet obelgą; Busson spotwarzył ją w okolicznościach nadzwyczajnych, ściągających na jej osobę najniesłuszniejsze podejrzenie.

W obec widocznej intrygi osnutej przez ludzi zamożnych, tylko całun grobowy mógł oczyścić jej pamięć i uwydatnić w całej pełni jej niewinność. Eugenia z prawdziwą przyjemnością myślała o tym wiecznym spokoju którego nie potrafi wzruszyć największa nawet złośliwość ludzka.

Wśród myśli podobnych snujących się bez ustanku, Eugenia zadrżała przypomniawszy sobie o zaciągniętym obowiązku rozciągania opieki nad przybraną matką. Nie była wolną mając na swojem utrzymaniu dawną opiekunkę, która kiedyś rozciągała nad nią rodzicielską prawdziwie opiekę. Pozostawienie jej w opuszczeniu bez najmniejszej podpory, byłoby czarną niewdzięcznością za doznane kiedyś dobrodziejstwa. Siedząc na ławce postawionej na początku drogi wiodącej do zamku Verriéres, usiłowała odzyskać spokój, aby pod wpływem zimnej rozwagi znaleźć właściwą drogę postępowania. Ale gorączka wewnętrzna, zwiększana co chwila, wzburzyła do najwyższego stopnia jej myśli i uczucia, wywołując jakieś dziwne zamieszanie w sercu i głowie.

Najrozmaitsze obrazy tak z czasów ubiegłych jakoteż teraźniejszych, uwidomiły się w jej wyobraźni. Zacna postać jej ojca, pani Lucas, niegodziwy Pigrenier, a jeszcze niegodziwszy Busson, hr. de la Fare i towarzyszki pracy, przełożona zakładu i Górecki, jednem słowem, wszyscy znajomi stali przed jej oczami, przybierając wszelkie pozory rzeczywistości. Pod wpływem złudzenia, Eugenia wyciągnęła błagalnie dłonie ku swemu ojcu jakby chciała pochwycić jego rękę, przycisnąć do ust prosząc o pomoc i opiekę. Obrazy szybko przemijały jedne za drugiemi, postacie drogich osób ustępowały innym złowróżbnym, jak Busson i Pigrenier.

Pod wpływem chłodu wieczornego Eugenia przyszła nieco do siebie. Gorączka zmniejszyła się, widziadła urojone rozproszyły, ale wyraz twarzy niezwykły, usta wykrzywione i dziki blask oczów, zmieniły biedną panienkę do niepoznania.

Oparłszy głowę na ręku pozostała długi czas w nieruchomej postawie: u jej nóg spoczywał Wierny smutny i zamyślony, widocznie nie mógł zrozumieć przyczyny, dla której zamiast wracać spiesznie do domu, siedziała na ławce przy drodze publicznej. Początkowo długi czas patrzył w jej oczy, kładł głowę na jej kolanach; od czasu do czasu szczeknął widocznie na znak zapytania. Wszystko to jednak nie zwróciło najmniejszej uwagi Eugenii, położył się więc na ziemi, drzemiąc na pozór, ale słuch jego był czujny a silny węch umiał poznać nieprzyjaciela.

Spoczywał czas jakiś bez najmniejszego poruszenia, jakby nie chciał przerywać wątka myśli swojej karmicielki. Nagle powstał z ziemi, a zwróciwszy głowę w stronę zamku Verriéres, głośno szczeknął. Eugenia, uważna na każde najmniejsze ostrzeżenie swego towarzysza, żadnym znakiem nie objawiła trwogi, jakby los jej własny był dla niej najzupełniej obojętnym. Wierny jednak więcej niż kiedykolwiek chciał dać dowody baczności i poświęcenia, to też nie wrócił do spoczynku, ale przybierał coraz groźniejszą postawę, jakby czuł nieprzyjaciela zbliżającego się coraz bardziej.

Rzeczywiście poczciwe psisko nie było wprowadzonem w błąd, bo Karol Pigrenier, rozkochany więcej niż kiedykolwiek, podchodził ku Eugenii krokiem nieśmiałym. Od wczorajszego spotkania, utracił do reszty głowę; nie mógł żyć bez towarzystwa Eugenii, pragnął widzieć, mówić do niej, usłyszyć dźwięk jej głosu. Każda chwila oddalenia niepokoiła go: w Góreckim upatrywał groźnego współzawodnika; pani Lucas mogła go w błąd wprowadzić, czyniąc obietnice bez najmniejszej podstawy; Eugenia może nie wiedziała o niczem; może kocha bogatego Polaka i pomimo wczorajszego zajścia będzie z nim połączoną na wieki.

Te i tym podobne wątpliwości dręczyły nadzwyczajnie Karola Pigrenier, bo obok podszeptów zwiększonej miłości nie chciał być narażonym na śmieszność, gdyby poczynione przygotowania były zupełnie nieużyteczne.

Jakkolwiek wykonanie obietnic, czynionych przez panią Lucas, miało nastąpić w niedzielę, to jest nazajutrz, jednakże dla zakochanego wśród trwogi i niepokoju, każda chwila jest drogą i radby jak najspieszniej zniweczyć dręczącą go niepewność.

Busson radził przeto Pigrenieremu znajdować się koniecznie wieczorem na drodze wiodącej do zamku Verriéres, bo biedna panienka pozbawiona utrzymania, pod wpływem rozpaczy będzie z pewnością powolniejszą na uczynione jej przedstawienia. Chcąc wywołać większą stanowczość i odwagę w sercu młodego człowieka, chociaż niezupełnie wyraźnie obudził jednak pewną wątpliwość w jego umyśle co do prawdomówności pani Lucas. Zatrwożony Karol Pigrenier pojechał spiesznie na oznaczone miejsce, zabrawszy z sobą cały arsenał broni palnej, celem obrony osobistej przeciwko ostrym zębom psa niegodziwego.

Usłyszawszy szczeknięcie psa, Pigrenier odwiódł kurki dubeltówki i podchodził coraz bliżej ku Eugenii, dokładając starań, aby każde stąpnięcie było jak najcięższe. Przygotowany wrazie potrzeby do zabicia psa, chciał choćby przemocą zdobyć serce Eugenii.

Wierny najeżywszy sierć z groźnem szczekaniem poskoczył na spotkanie nieprzyjaciela, Eugenia przywołała go do nóg mówiąc:

— Leżeć Wierny, leżeć, nie potrzebuję więcej twojej obrony. Usiłuj pozyskać względy przyszłego twego karmiciela, bo nie jestem w stanie kupić ci nawet kawałka chleba.

Pigrenier słysząc tak niespodziane przemówienie Eugenii pod wpływem wzruszenia chciał pobiedz do Eugenii, upaść jej do nóg i ucałować ręce; niespodzianie jednak usłyszał odgłos kroków idących osób.

Były to panny z magazynu, które po wyjściu z zakładu zrobiwszy naradę, chciały iść aż do mieszkania Eugenii, z zamiarem pocieszenia i w miarę możności udzielenia pomocy.

Przy pomroku wieczornym zajęte gorliwą rozmową możeby i przeszły nie poznawszy biednej panienki, ale szczekanie Wiernego zwróciło ich uwagę, poskoczyły więc szybko, a Teresa rzuciwszy się na szyję Eugenii, mówiła:

— Kochana i jedyna moja przyjaciółko, obwiniłaś nas prawdopodobnie o brak serca dla ciebie bośmy siedziały milczące, a nawet kiedy wychodziłaś zrozpaczona, nie przemówiłyśmy do ciebie ani jednego wyrazu. Byłyśmy jak ogłuszone ciosem, jaki cię dotknął tak niesprawiedliwie. Zrobimy jednak dla ciebie wszystko co będziemy mogły. Ze składki ogólnej dajemy ci dwanaście franków na pierwsze potrzeby. Jutro zastawimy niektóre przedmioty zbyteczne, a otrzymaną sumę wręczę ci wieczorem. Będziemy szukać innego miejsca, nie opuścimy cię w nieszczęściu. Nie trać odwagi, będziemy stałemi w przyjaźni dla ciebie i w tym względzie nie doznasz nigdy zawodu.

Eugenia powstawszy z ławki, patrzyła chwilowo błędnemi oczami na otaczające ją panny jakby nie rozumiała słyszanego przemówienia. Wkrótce jednak zadrżała jej twarz, łzy rzęsiste puściły się z oczów a pochwyciwszy za rękę Teresę, zawołała z bolesnym jękiem:

— Dziękuję wam, moje drogie i jedyne przyjaciółki, za okazane mi dowody życzliwości. Nie jestem zatem przeklętą przez Boga i ludzi, kiedy wyciągacie ku mnie dłoń pomocy, i kiedy serca wasze biją dla mnie uczuciem prawdziwej przyjaźni. Pieniędzy nie przyjmę od was bo jesteście ubogie równie jak ja, bo każden grosz wasz jest krwawo zapracowany, bo najmniejszy uszczerbek w dochodach narazi was na tysiączne przykrości. Ja nic nie potrzebuję ani od was ani od nikogo. Wkrótce będę szczęśliwą i spokojną. Nie złorzeczcie mej pamięci. Brońcie dobrej mej sławy jeżeli ludzie rzucać będą na moją głowę kamienie potępienia. Pracowałam uczciwie i sumiennie jako szwaczka, jako gałganiarka, o czem po raz pierwszy słyszycie. Złość ludzka odjęła mi możność zarobku, a łamiąc

mnie moralnie, odjęto mi siłę i odwagę do dalszej walki. Dla ochronienia mej matki przybranej od nędzy, od żebractwa, od szpitala, zniewoloną jestem wejść na drogę występku. Schowajcie więc pieniądze bo ja nic od was nie potrzebuję, powtarzam raz jeszcze, za kilka godzin będę spokojna i szczęśliwa.

— Eugenio co ty mówisz? zawołała z przerażeniem Teresa, ty masz wejść na drogę występku? Nie wierzę temu bo jesteś zanadto szlachetna, zanadto dumna, zanadto wykształcona, abyś miała stanąć na równi z kobietami żyjącemi jedynie dla przyjemności.

Eugenio! powiedz prawdę, ty myślisz coś złego. Zabrakło ci sił do walki, w śmierci chcesz szukać ostatniego środka ratunku. Rozumiem to doskonale ale tylko w takim razie, kiedy wśród rozpaczy nie przyświeca nam najmniejszy promyk nadziei. Z tobą tak źle nie jest, bo kochamy cię szczerze i nie odmówimy ci nigdy naszej pomocy. Sama właścicielka zakładu mówiła nam: że skoro ukończy rachunki z jednym panem z okolicy, to cię weźmie napowrót do siebie.

Objaśnienie powyższe zamiast dodać otuchy zdwoiło rozpacz Eugenii, bo miała widoczne dowody intrygi usnutej dla jej zgubienia. Z jednej strony przyjaźń i szlachetność jej towarzyszek pracy; z drugiej tajemna złość ludzka, wytrwała i nieubłagana, poruszyły na nowo jej wyobraźnię zwiększając moralną gorączkę męczącą ją od dnia wczorajszego.

— Jakim ty wzrokiem patrzysz Eugenio? zapytała Teresa pod wpływem wielkiego niepokoju. Ty zabijesz się albo staniesz się obłąkaną. Ja ciebie nie opuszczę, chodź ze mną albo pójdę z tobą.

Pierwsze chwile najstraszniejsze, dopiero wtenczas wrócę do pracy, skoro przeminie twoja gorączka. Nie odstąpię cię ani w dzień ani w nocy, aż odzyskasz zupełny spokój umysłu.

— Wkrótce! zaraz! odzyskam zupełny spokój umysłu! zawołała Eugenia z dzikim śmiechem wyrywając się z rąk swoich towarzyszek. Czekajcie chwilę usłyszycie coś nowego

Chodź pan tutaj, przybliż się, mówiła poskoczywszy kilka kroków w stronę stojącego Karola Pigrenier w cieniu drzewa. Wierny, leż, ani się rusz bo to twój karmiciel i dobroczyńca. Odpowiadaj pan szczerze na moje zapytania, „bo przeczuję kłamstwo, mówiła, widząc że młodzieniec uczynił zadosyć jej rozkazowi, chociaż z widocznem przerażeniem na twarzy. Powiedz mi czy to Górecki był w towarzystwie Bussona wczorajszego wieczora? Czy to on śmiał się tak szyderczo skoro zgromioną byłam za moje niemoralne postępowanie?

— Górecki, szepnął nieśmiało Pigrenier!

— Więc urządziłeś wszystko, mówiła Eugenia głosem przenikającym, aby mnie okryć niesławą, aby mi odjąć ostatnie środki zarobku. Jesteś dla mnie tym duchem złowieszczym, niedającym mi ani chwili wypoczynku. Powiedz mi, dlaczego mnie ścigasz, dlaczego mnie prześladujesz?

— Ja cię kocham, mówił Pigrenier głosem drżącym, kocham do szaleństwa. Chcę cię wyrwać z nędzy, uwolnić od pracy, przechodzącej twe siły. Otoczę cię bogactwem, przepychem, wszelkiemi przyjemnościami. Na twoje przyjęcie urządziłem pałac godny królewny. Liczna służba, wykwintna kuchnia i piwnica, powozy i konie wierzchowe, będą na twoje rozkazy.

— Nie o mnie mów, zawołała Eugenia, ale o mojej matce przybranej. Nie dla pana, bo cię nienawidzę, nie dla siebie, bo ja nic nie potrzebuję, ale dla niej wchodzę na drogę obłudy i kłamstwa. Jeżeli przyjadę do zamku przez pana przygotowanego, to powiedz mi z całą szczerością, czy będziesz pamiętał o mojej matce przybranej, jednem słowem o pani Lucas aż do śmierci? Czy zaopatrzysz jej potrzeby tak, aby jej na niczem nie zbywało?

— Pani Lucas uważaną będzie w moim domu jakby matka rodzona, odpowiedział Pigrenier głosem stanowczym.

— Przysięgnij mi w obec świadków, zawołała Eugenia, abym uwierzyła w szczerość słów twoich.

Młodzieniec po trwodze i niepokoju, usłyszawszy obietnicę Eugenii przyjechania do pałacu dla niej przygotowanego, był nadzwyczajnie uradowanym.

Drobną zatem trudność w swojem przekonaniu chcąc usunąć w sposób stanowczy, aby zniweczyć wszelką wątpliwość w umyśle Eugenii, a przytem okazać swoją wspaniałomyślność, rzekł:

— Przysięgi najbardziej stanowczej można nie dotrzymać, a ja chcę działać z najlepszą wiarą; oddaję więc pani zobowiązanie piśmienne, zapewniające pani Lucas większe korzyści, aniżeli przypuszcza. Znaczny kapitał, doroczna pensya, mieszkanie w pałacu wspaniale umeblowanym, zapewnione jej są aż do śmierci.

— Dawaj, dawaj! mówiła Eugenia zostając ciągle pod wpływem coraz bardziej zwiększającej się gorączki, wyrywając papier z rąk Karola Pigrenier. Słusznie bardzo; abyś wynagrodził mej matce wszystkie krzywdy jakie mnie wyrządziłeś.

— Jakto! mówił Pigrenier blednięjąc, czyż pani nie przyjedzie?

— Przyjadę mój drogi, jedyny oblubieńcze, mówiła Eugenia ze śmiechem szalonym, nie posądzaj mnie o chęć złamania raz danego słowa. Jutro przyszlij najwspanialszą karetę, jaką masz, bo przywdzieję białą suknię i biały welon, jaki mi służył do pierwszej komunii. Od tej chwili jesteś moim narzeczonym, a jutro odbędziemy gody weselne. Pamiętaj przygotować wspaniałą ucztę, sprowadzić liczną muzykę. Niech będzie huczno niech będzie wesoło, aby wszyscy wiedzieli o naszem szczęściu zobopólnem. Jutro przyślij karetę, a sam czekaj mego przybycia w krużganku pałacu. Pamiętaj abyś był posłuszny, bo ja twoja narzeczona, mam więc prawo rozkazywania. Jam niegodna miłości Góreckiego, bo odbywam nocne spacery z młodymi ludźmi. Widzicie moje drogie, mówiła zwracając się do dawnych towarzyszek pracy, że mogę być zupełnie spokojną o swoją przyszłość.

Przed wami praca, przede mną uciechy i rozrywki. Kiedy wy igłami będziecie kłuć palce, ja będę jeździć karetami na rozmaite widowiska. Nie gardźcie jednak mną i nie spotwarzajcie mej pamięci. Oby Bóg był litościwszym dla was niż dla mnie.

Wymówiwszy to Eugenia poczęła szybkim krokiem zmierzać ku zamkowi Verriéres.

— Może panią odprowadzić? pytał Pigrenier głosem nieśmiałym.

— Nie, mój oblubieńcze, odpowiedziała Eugenia. Wracaj do domu urządzić wszystko tak jak rozkazałam. Przyślij karetę, a sam mnie oczekuj w pałacu. Najmniejsze nieposłuszeństwo z pańskiej strony, a zerwę umowę dopiero co zawartą.

Eugenia wróciwszy do domu przesiedziała na krześle do samego rana, patrząc wciąż w okna zamkowe, jakby ztamtąd oczekiwała ostatecznego środka ratunku. Gdyby była zobaczyła Góreckiego, gdyby nawet była posłyszała jeden ton jego skrzypców, to może bieg wypadków wszedłby na odmienną zupełnie drogę. Na nieszczęście ogród był pusty, zamek milczący, okna ciemne, głosy tylko ptaków nocnych od czasu do czasu przerywały ciszę ogólną i zamiast uspakajać, wywoływały niemiłe wrażenie w duszy biednej dziewicy

Równocześnie ze wschodem słońca pani Lucas wstała z łóżka; dzień dzisiejszy miał być stanowczym w jej życiu. Nadzieja poprawy losu, a z drugiej obawa, aby Eugenia uporem swym nie zniweczyła jej zamiarów tak pracowicie przeprowadzanych, rozbudziły ją wcześniej niż zazwyczaj. Nie zastawszy nikogo w pokoju sypialnym i widząc z zadziwieniem łóżko nietknięte, pani Lucas zeszła do pokoju wychodzącego na ogród, bo od pewnego czasu był on ulubionem miejscem pobytu dla Eugenii.

Nidobra kobieta nie zwróciła uwagi na niezwykły stan Eugenii, pytając głosem ostrym i stanowczym.

— No i cóż zrobimy?

Eugenia wydobywszy papier zachowany starannie pod stanikiem, oddała go pani Lucas. Odczytawszy jego osnowę, chciwa kobieta chwilowo oniemiała pod wpływem radośnego uniesienia. Rzeczywistość przewyższyła jej najbujniejsze marzenia, a co jeszcze ważniejsza, zobowiązanie napisanem było wyłącznie na jej imię. Zdobyła więc stanowisko samoistne, niezależne. Zmienione nagle położenie wywołało dziwny jakiś zawrót w głowie pani Lucas, nie umiała zdać jasno sprawy z okoliczności bieżących, była jakby odurzona po wypiciu mocnego trunku. Z gorączkowym pośpiechem zaczęła czynić przygotowania do wyjazdu. Kręcąc się ciągle po pokoju mówiła bez przerwy, łącząc z sobą przedmioty najrozmaitsze niemające żadnego związku. Od czasu do czasu podchodziła ku Eugenii całując ją serdecznie, bez zwrócenia uwagi na jej twarz bladą i zrozpaczoną, na jej oczy zaczerwienione, na jej usta zimne jak lód.

Około godziny ósmej rano przybyła wspaniała kareta, ciągniona przez parę koni mogących być ozdobą najbogatszych stajni paryzkich. Lokaj i stangret przybrani w świetną liberyę, zawiadomili panią Lucas, że odtąd zostawać będą na jej rozkazy, jakoteż na rozkazy panny Eugenii, a prócz tego cztery inne konie, z których dwa wierzchowe i trzy powozy różnego kształtu, oddane są na ich usługi.

Gdyby nie słodki zachwyt i stan na wpół tylko przytomny, to pani Lucas byłaby zachorowała pod wpływem wielkiego szczęścia. Od czasu do czasu tylko przecierała oczy, jakby chciała nabrać przekonania o rzeczywistości odbieranych wrażeń.

Czyniąc przygotowania do podróży, zapomniała prawie o Eugenii i dopiero zwróciła trochę uwagi na jej ubranie zaniedbane, skoro przyszło siadać do karety.

— Czy tak pojedziesz jak jesteś teraz? zapytała od niechcenia.

— Jedź matko sama naprzód, odpowiedziała Eugenia głosem drżącym, przedewszystkiem wstąp do kościoła i pomódl się na moją intencyę. Potem jedź do naszego pałacu obejrzeć czy wszystko jest należycie urządzonem. Kareta niech po mnie przyjedzie o drugiej po południu, ale nie wcześniej. Przywdzieję moją białą sukienkę i z wiankiem na czole pojadę do przygotowanego dla nas mieszkania. Zabierz z sobą matko Wiernego i przez pamięć dla mnie nie dozwól aby cierpiał brak pożywienia.

Jakkolwiek żądanie Eugenii było dosyć dziwaczne, pani Lucas czując na swojem sercu zobowiązanie Karola Pigrenier, nie chciała wywołać żadnych sporów ze swoją wychowanicą a nawet mówiąc prawdę, nie uważała za właściwe zastanawiać się nad tym przedmiotem.

— Dobrze, moje dziecię, mówiła całując z roztargnieniem czoło Eugenii. Przyjedziesz o drugiej po południu lub kiedy zechcesz. Posłucham

twej rady, pojadę do kościoła, bo kiedy Bóg jest litościwy dla nas to i my nie powinniśmy zapominać o modlitwie. Zresztą chcę wywołać trochę zazdrości pomiędzy mieszkańcami naszego miasteczka. Będą mieli o czem mówić skoro zobaczą wspaniałą moją karetę. Do widzenia moje dziecię.

Wymówiwszy to chciała spiesznie wyjść z pokoju.

— Matko! pobłogosław mnie, zawołała Eugenia z płaczem padając na kolana.

— Błogosławię cię, moje dziecię, rzekła pani Lucas stojąc na progu, jakby nie chciała stracić napróżno najmniejszej chwili czasu.

Eugenia została długo na klęczkach wśród rzewnego płaczu.

Nieszczęśliwa dziewica we wspomnieniach przeszłości szukała osłody dla swego serca. Piękna i szlachetna postać jej ojca rysowała się żywo w jej wyobraźni. Do ostatniej chwili życia dawał jej jednostajne dowody największego poświęcenia i miłości. Prawdopodobnie z krainy wiecznego pobytu patrzy ze współczuciem, ubolewając nad jej upadkiem.

— Ojcze drogi! szepnęła Eugenia zalana łzami, ty znasz tajniki mego serca, i wybaczysz mi obraną drogę obłudy i kłamstwa. Chcę uchronić matkę przybraną od nędzy, a ty sam wskazałeś mi poświęcenie dla drugich jako najważniejszy obowiązek chrześciański. Staczałam walkę z upartym losem aż do zupełnego wyczerpania sił moralnych i odjęcia mi wszelkich godziwych środków zarobku. Umieram z kłamstwem na ustach, byłam przeklętą w tem, będę przeklętą w przyszłem życiu. Ty jednak ojcze nie będziesz gardzić swoją córką, bo spełniony grzech wyzyskania przez człowieka będącego głównym powodem mego nieszczęścia, opłacam śmiercią męczeńską, nie wiedząc czy Bóg zechce mi wybaczyć straszliwą zbrodnię samobójstwa.

Eugenia obtarłszy oczy, wstała wdziewając szybko na siebie białą suknię i welon, jedyne przedmioty pozostałe ze świetniejszych czasów jej żywota.

Usiadłszy przy stole napisała na papierze:

„Ciało moje proszę wydać panu Karolowi Pigrenier. Tym sposobem spełniam przyrzeczenie zrobione mu w dniu wczorajszym."

Położywszy imię, nazwisko i datę, biedna panienka zamknęła starannie drzwi i okna, pozatykała watą szczeliny, a zapaliwszy stos węgli przygotowany na fajerce, usiadła na krześle przy oknie patrząc z dziwnem jakiemś rozrzewnieniem na mury starego zamku. Kilkadziesiąt zaledwo metrów oddzielało ją od człowieka, który okazał jej w pierwszem i ostatniem spotkaniu wiele współczucia i dobroci a którego ona całą duszą pokochała. Spotwarzona w jego oczach straciła cały urok w życiu. Jednakże była niewinną i w poczuciu swem godną miłości najszlachetniejszego człowieka. Śmierć dopiero oczyści jej wspomnienie i wywoła może w piersi młodzieńca westchnienie żalu.

— Jeżeli jednak nie dowie się o niczem, zapytywała sama siebie Eugenia z pewnem przerażeniem, jeżeli ludzie złośliwi przekręcą prawdę i przelotne nawet wspomnienie o mnie wywoła w nim uczucie wstrętu? Boże mój! Boże ratuj mnie, mówiła biedaczka wstając z krzesła i idąc chwiejnym krokiem ku stolikowi.

Pochwyciła konwulsyjnie pióro pisząc:

„Powiedźcie mu, że byłam niewinną...

W prędkim jednak czasie palące się węgle napełniły pokój wielką ilością dymu. Uczuła brak oddechu, zawrót głowy, nie miała siły dokończyć pisma i upadła z głuchym jękiem na podłogę.

(Koniec tomu pierwszego).

POGADANKA.

Dnia 5 b. m. w przepełnionym kościele Ś. Krzyża, odbyło się uroczyste poświęcenie pomnika Frederyka Chopin'a, a na kilka dni przedtem miało miejsce wmurowanie w filar puszki z sercem ulubionego muzyka-poety, przy którem najbliższa tylko rodzina była obecną.

Serce niezrównanego mistrza tonów mieści się w szklannej puszce, złożonej w hebanowej szkatułce, na której położony jest napis:

„Frederyk Chopin, ur. 1 marca 1810, zmarły w Paryżu 17 października 1849 r.

Tak więc minęło lat 31 od czasu jak ucichła ostatnia nuta palcami mistrza wydana, od chwili gdy zagasło życie jego tylu wstrząsane burzami, a zwłoki bez serca, bo te ojczystej przekazał ziemi, spoczęły w gościnnej Francyi, w której tylu rodaków naszych wiecznym snem zasypia. Nikt z przybyłych do Paryża, nietylko ziomków ale obcych turystów, nie pomija zwiedzenia grobowca nieśmiertelnego artysty, na cmentarzu Père-Lachaise. Tam na wzgórzu, wśród drzew zieleni, stoi kolumna z białego marmuru ozdobiona medalionem wielkiego muzyka-poety; po nad nią zasiadła zasmucona muza pieśni, jakby zasłuchana w dźwięki nadziemskiej harmenii, ze wzrokiem wlepionym w oblicze mistrza. Z prawej strony grobowej kolumny czytamy:

„*Frederyk Chopin, nè en Pologne à Żelazowa Wola, près de Varsovie † 1849.*

z lewej:

„*Fils d'un emigré français, marié à M-ell Krzyżanowska, fille d'un gentilhomme polonais.*

W około medalionu napis: „A Frèderic Chopin, ses amis."

Skromny ten ale pięknie wykończony pomnik, wykonał znany rzeźbiarz Aesinger.

Tak więc niezrównany dotąd muzyk-poeta, który tak gorąco kochał ziemię rodzinną, a ta miłość jego do niej dźwięczy w każdej jego nucie, czy w tęsknych nocturnach, czy w bolesnych zwątpieniach scherza, czy w poważnych a tak naszych polonezach, czy w weselszych niby a jednak tak smętnych mazurkach i walcach — czekał lat trzydzieści zanim dźwięki jego pogrzebowego marsza rozległy się nareszcie w polskiej świątyni, podczas uroczystego za duszę jego nabożeństwa.

O w pół do dwunastej rozpoczęła się Msza Św. i jednocześnie spadła zasłona pokrywająca skromny pomnik wmurowany przy pierwszym filarze na lewo, od strony wielkiej nawy kościoła. Wykonany jest z białego marmuru i ozdobiony popiersiem Chopin'a. Dwóch aniołków podtrzymuje tablicę nadgrobkową, z napisem:

„*Gdzie skarb twój, tam i serce twoje.*" (Mateusz VI, 21.)

Frederykowi Chopin'owi, rodacy.

Poniżej data urodzenia i śmierci. Pomnik ten wykonany został przez Leonarda Marconi'ego, profesora szkoły politechnicznej we Lwowie.

„Kuryer Poranny, pierwszy zapowiedział przybycie do Warszawy Karola Miarki. Któż z nas dziś nie uwielbia zasług jakie czcigodny ten człowiek położył dla dobra Górnego Szlązka? Kto nie wie iż jemu głównie zawdzięczamy, że systematyczne germanizowanie, nie zatarło w ludzie szlązkim poczucia narodowości. Od chwili gdy Frederyk II-gi zagarnął Szlązk, rozpoczęło się systematyczne wynaradawianie polskiej ludności: we wszystkich szkołach i szkółkach zaprowadzono wykład niemiecki. Dzięki Opatrzności znalazło się kilku ludzi, którzy wzięli sobie za zadanie podnieść moralnie i wyzwolić lud ten z wiekowej poniewierki. Do najzasłużeńszych należy Karol Miarka, a zasługa jego tem większa, że wychowany był jak Niemiec. Zaczął zaraz uczyć się poprawnej mowy polskiej, gdyż znał jedynie zepsuty górno-szlązki dialekt, pisać i redagować pisma dla ludu, którego celem było podniesienie oświaty i wykazanie praw przysługujących Szlązakom.

Wspierając Szlązaków spełniamy chwalebny, święty obowiązek; niech jednak wielka kierująca nami idea, nie dozwala nam dla dalszych braci zapominać o bliższych. Wspierajmy tamtych każdy w miarę swej możności, ale pamiętajmy o nędzy szerzącej się w Kieleckiem a szczególniej w Sandomierskiem, aby tyfus głodowy którego nie chcemy dopuścić do Szlązka, nie zabrał u nas setek ofiar. I tam szerzy się straszna nędza, nie dopuszczajmy aby zbyt głębokie zapuściła korzenie, bo wtedy możeby nam do jej wytępienia sił nie stało.

Dobrze powiedział Heine:

Fortuna to wietrznica pusta,
Co nigdzie długo nie zabawi,
Ledwie całusem muśnie usta,
I wnet samego cię zostawi.

Bieda cię za to kocha stale,
Miłością wierną i niepłochą,
Z odejściem nie śpieszy się wcale,
Siada przy łożu twem—z pończochą.

„Biesiada literacka" podaje zajmujące szczegóły o katolickiem Stowarzyszeniu czeladzi rzemieślniczej we Lwowie, pod nazwą „Skała" którego prezesem jest ks. Zygmunt Odelgiewicz, od lat przeszło 20 oddający się z bezgranicznem poświęceniem kierownictwu tego pożytecznego zakładu; który pierwszy podjął tam trudne a szlachetne zadanie szerzenia światła i umoralnienia klasy rzemieślniczej. Mało komu dano dokonać tak wiele jak dokonać umiał ten kapłan-filantrop. Jako sławny i ulubiony kaznodzieja, pozyskał wielki wpływ od najniższych do najwyższych sfer społecznych, i korzystał z niego jedynie w celach dobroczynnych i dla dobra zakładu. Wymową i przykładem zachęcał do ofiarności za jego staraniem „Skała" posiada własny dom, ogród, bibliotekę, salę wykładową, w której co sobota ks. Odelgiewicz wykłada naukę religii, przedstawiając praktyczne zastosowanie zasad chrześciańskich, starając się zaszczepiać moralność, zamiłowanie porządku i pracy. W niedzielę i święta inni nauczyciele wykładają początki geografii, historyi i nauk przyrodniczych, w zastosowaniu do zawodu słuchaczy. I wszystkiego tego zdołał dokonać jeden człowiek dobrej woli—a u nas, dotąd daremnie wyczekujemy od lat tylu zapowiadanej resursy rzemieślniczej!

Jeszcze w r. 1876 Dyrekcya Naukowa Chełmska upoważniła nauczycieli wiejskich do udzielania lekcyi starszym mieszkańcom, w porze wieczornej, dotąd jednak, zapewnie z powodu często zbytniej odległości od szkoły, niewiele gmin korzystało z pozwolenia. Obecnie, przywileje posługujące w wojsku umiejącym pisać i czytać, budzą w starszych chęć do nauki, zatem wykłady świąteczne i wieczorne powinnyby rozpowszechnić się w całym kraju. O ile wiemy, pan Kopyłow wypracował odnośny projekt dla Dyrek. Naukowej Kieleckiej, według którego nauczyciele wiejscy powinni w niedzielę zgromadzać włościan w szkole, czytywać im „Zorzę" i odpowiednie dla nich książki, a pragnących tego starszych włościan uczyć czytać i pisać po polsku i po rossyjsku. Panu Kryłowowi należy się po-

dzięka i uznanie—pragniemy jak najwięcej szkółek i przymusowego nauczania elementarnego, bo wszak religia i oświata, to nieprzeparta tama przeciw zabójczej powodzi socializmu.

Prassa periodyczna czeska bardzo gorliwie zajmuje się naszem piśmiennictwem. Od 1 października r. z. wychodzi w Pradze czeskiej miesięcznik „*Ruch*" pod redakcyą W. Howorki. Pismo to przedstawia głównie działalność młodszych pisarzy, z których wielu odznacza się prawdziwym talentem. Z naszego piśmiennictwa, zamieszczono wiersz Asnyka dla Kraszewskiego, w tłomaczeniu Koapila, oraz „Płacz Sarmaty" Fr. Karpińskiego. Pomiędzy listami znakomitych Słowian, Ed. Jelinek zamieścił list Odyńca o pobycie Mickiewicza u Goethe'go. Howorek przedstawił działalność Kraszewskiego w artykule p. n. Mąż żelaznego ducha a w rubryce „Rozmaitości, *Ruch* pomieszcza głównie wiadomość z naszej literatury. Pismo to w r. b. zamierza powiększyć format i zmienić się na „Przegląd Słowiański" zapraszając do współpracownictwa pisarzy pobratymczych narodów.

Czeska *Matica* liczy obecnie 10,000 członków, którym daje rocznie *sześć tomów* dzieł popularnych, *za jeden złoty reński* zatem po 10 kp. za tom.

W tych dniach pisma codzienne podały straszny opis powodzi w Sandomierskiem, która obecnie posunęła się o trzy łokcie wyżej niż podczas styczniowego wylewu.

Wsie i pola zalane na sześcio-milowej przestrzeni, fale uniosły bardzo wiele koni, bydła i trzody chlewnej. Dziś już, straty obliczone przypuszczalnie przerażających liczb dochodzą. Mówią że w niektórych miejscowościach i ludzie znaleźli śmierć w nurtach rozhukanej rzeki. Saperzy, władze powiatowe, policyjne i miejskie, gorliwie zajęły się ratunkiem, ale brak łodzi na pasie granicznym nie dozwalał w pierwszych stanowczych chwilach nieść skutecznej pomocy. Kilka galarów stojących pod Sandomierzem i opatrzonych w łodzie znakomite oddały usługi.

Sąsiednia Galicya przedstawia się oczom jak bezgraniczne morze. Jak okiem zasięgnąć można nie dojrzy śladu ziemi, tylko tu i owdzie wyłaniają się z wnętrza fal, wierzchołki drzew lub szczyty dachów. Od pięciu dni wszelka kommunikacya przerwana, pustkowie i głucha cisza zaległy dokoła, duch zniszczenia zapanował nad całą okolicą.

Z naszej strony, od 8 b. m. woda zaczęła nieco opadać, i zdaje się że główne niebezpieczeństwo już minęło. Najsilniejszy zator utworzył się od strony Galicyi i dotąd opiera się falom. Najstarsi okoliczni mieszkańcy nie pamiętają tak rozległego wylewu i tak wysokiego stanu wody. Trzydzieści wsi stoi pod wodą a biedni ich mieszkańcy ze szczytu dachów, wołają ratunku i litości; trzebaby tysięcy bochenków chleba dziennie, aby nakarmić pozbawionych przytułku i mienia. I my wołamy litości i miłosierdzia dla tych nieszczęśliwych.

Z okoliczności tej strasznej klęski donoszą z Galicyi, iż pewien biedny Izraelita dnia 3 b. m. dał nader rzadki przykład odwagi i miłości bliźniego.

Gdy już lody pękały i ogromna kra utworzyła zatory nad kilka sążni głębokiemi falami, dwóch nierozważnych młodzików postanowiło przejść przez rzekę do Tarnobrzegu. Przeskakując z kry na krę przebyli połowę rzeki: aż nagle lód się załamał i oba utonęli. Jeden zaraz poszedł na dno, drugi wypłynął ostatkiem sił chwytając się za wielki odłam lodu. Tłumy stały nad brzegiem, nikt jednak nie odważył się ratować nieszczęśliwego, nie chcąc narazić się na śmierć prawie niechybną. Wtem Chaim Goldbleim, biedny sługa żydowski, choć znajdował się w dość znacznej odległości, jednak usłyszawszy krzyk nad brzegiem przybiegł co tchu, pochwycił łatę i trzymając ją w zębach rzucił się w fale poprzerzynane kawałami lodu. Po ciężkich usiłowaniach, zdołał uratować tonącego, wzruszeni widzowie od łez wstrzymać się nie mogli.

Czyż ten piękny czyn biednego żyda, nie zasługuje na największe uznanie?

O naszych sprawach domowych radzibyśmy obszernie pomówić, ale post chuda to pora na nowości ważniejszej treści.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA
Z RZYMU.

(Dalszy ciąg).

Capri zajmuje zaledwie milę kwadratową powierzchni i liczy około pięciu tysięcy mieszkańców. Coraz liczniejsi turyści roznieśli po Europie niewysłowione piękności tej czarującej wysepki, i to dało powód że *Perseveranza* podała o niej zajmujący artykuł z którego podaję wyjątki.

Wschodnią stronę wyspy zajmuje Capri, jest to większa część ale biedniejsza, zachodnią zaś Anacapri; mała ale urodzajniejsza. Samo miasteczko Capri leżące między dwiema wysokiemi skałami, roztacza dokoła czarujące krajobrazy; obwarowane jest murami, wieżami i mostami zwodzonemi. Do miasteczka Anacapri, opatrzonego jeszcze za czasów Fryderyka I basztą i kasztelem, prowadzi ścieżka o 536 stopniach wykutych w skale. Dotąd sterczą tam jeszcze zwaliska forum, termów i owych dwunastu pałaców wzniesionych przez Tyberyusza na cześć dwunastu głównych bożyszcz; wiadomo że cezar ten spędził tu ostatnie 11 lat życia, tonąc w niewysłowionych zbytkach i najwyuzdańszej rozpuście. Z Monte Salara, stanowiącego najwyższy szczyt wyspy, przedstawia się zachwycający i nader rozległy widok: jednem spojrzeniem można objąć zatoki Gaety, Neapolu i Salerno, a po za niemi coraz wyżej piętrzące się Abruzzy.

Jednakże ani niezrównana piękność położenia i krajobrazów, ani wspaniałe zgliszcza dawnej świetności i urok wspomnień dziejowych, nie byłyby jeszcze pewnie dostateczną przynętą do zwabienia tu corocznie tak znacznej liczby przybyszów wszelkich narodowości. Cóż więc ich pociąga?... tarantella i piękność kaprytanek. Jeden z turystów francuzkich rozgłosił po całym świecie piękność, wdzięk i niewysłowioną gracyą w tańcu Mihaeli i Carmeli, dwóch najsłynniejszych „tarantellistek." Zleciał się niebawem rój ciekawych i wielbicieli, i oto jedna została żoną wielkiego pana angielskiego, druga austryackiego. I nie myślcie, żeby tylko dwie te kaprytanki, przeniosły się z biednych chatek do książęcych niemal pałaców; dzięki ponętnie tańczonej tarantelli; — jedna z nich, córka prostego majtka, jest dziś wdową po lordzie G***, inna znów, żona księcia *** jest obecnie jakby królową wyspy po której niegdyś biegała boso, prowadząc osły które wynajmowała podróżnym. Według artykułu *Perseveranza*, w przeciągu ostatnich lat dziesięciu, przeszło trzydzieści kaprytanek pięknych lub powabnych, umiały otoczyć się nieprzepartym urokiem starożytnych syren tego lazurowego morza, i uleciały w wysokie sfery towarzyskie, w skutku czego nie ma dziś na wyspie ani jednej rodziny, któraby nie marzyła że mieć będzie zięciem „signore forastiere." I obecnie nie jedna z dziewcząt kapryjskich jest na drodze jaką poszły szczęśliwe jej towarzyski, i może wygrać na tej loteryi, nie ryzykując nic na stawkę. Śliczne te dziewczęta są rezolutne ale zarazem pełne prostoty i skromności. Kto chce je posiąść musi koniecznie wziąć ślub cywilny i religijny, umieją bowiem doskonale panować nad sobą i wyzyskać zachciewki anglo-saxonów.

Wyszedłszy za mąż są wzorowemi żonami i matkami, i doprawdy trudno pojąć jak w naszym XIX-ym wieku, może istnieć podobna czarodziejska wyspa.

Turyzm zamienił Capri w prawdziwy teatr, nęcący widzów cudzoziemców powabem tarantelli i oryginalnością ubioru jej tancerek.

Wystawa nie wymaga reżysera ani zachodu. Widzowie i tancerki zgromadzają się na dziedzińcu jakiegoś „pensionu" jakiemi są wszystkie oberże kapryjskie, z powodu że cudzoziemcy przyjeżdżający tu z zamiarem przepędzenia paru dni, bawią tygodnie, miesiące i lata. Jest to istna wyspa Circe, z tą różnicą że nie przemienia wielbicieli w wilków, niedźwiedzi i prosięta. Cudzoziemiec pragnący widzieć tarantellę zaprasza na zabawę najsłynniejsze tancerki; jako wynagrodzenie za występ wyprawia skromną ucztę i rozdaje trochę pieniędzy pomiędzy artystki ich siostry i matki. W około dziedzińca ustawiają ławki, scena zajmuje środek, a sąsiednie balkony zamieniają się w bezpłatne loże, do których cisną się tłumy widzów. Po pierwszych zaraz taktach klasycznego „tamburillo" dwie dziewczyny wysuwają się naprzód i zdejmują trzewiki, gdyż tarantellę tańczy się boso, z kastanietami w ręku. Stają naprzeciw siebie w sentymentalnych pozach, wykonywając z początku lekkie, falowate ruchy. Wtem tamburillo przyśpiesza takt, kastaniety idą za niem, nogi posuwają się śpieszniej. Tancerki wykręcają różne piruety, ścigają się i obracają nawzajem w koło siebie. Potem jedna klęka, druga tańczy, nagle klęcząca się zrywa, *pas* stają się coraz prędsze, ruchy, oczy, coraz więcej ożywione, taniec gwałtowniejszy i namiętniejszy. Oczy gorą żarem, obecni zaczynają przyśpiewywać, odzywają się różno-języczne brawa i oklaski, włosy tancerek rozrzucają się osłaniając je jak płaszczem, a one zmęczone padają w objęcia sióstr i matek. Na ich miejsce wysuwają się inne pary z kolei, aż nareszcie rozgorączkowana publiczność, z widzów zmienia się w tancerzy. Najpierw wysuwa się jedna para, chłopiec i dziewczyna, za nią coraz inne; aż nareszcie biorą udział w tańcu wszyscy którym wiek jeszcze skakać dozwala. Wtedy to taniec staje się szalony, namiętny, rozkoszny, nigdy jednak trywialny ani nieprzyzwoity. Dzięki takiej tarantelli, „Carmela" i „Michaela" są dziś wielkiemi paniami.

Gdy z nadejściem nocy ogólne znużenie zniewala do zakończenia tego ludowego baletu, wtedy przy blasku księżyca zaczynają roznosić napoje i przysmaki. Nie mają tu miejsca żadne formułki konwenansowe, najwykwintniejszy salonowiec Francuz, najpoważniejszy Niemiec i najsztywniejszy Anglik, szaleją po swojemu. Najswobodniej jednak uniesienie swoje objawiają artyści, a nawet i piękne damy, zapominając o zazdrości, szczerze przyklaskują ślicznem dziewczętom, starając się przyjąć ich powab i naturalność, i bawią się wybornie, uradowane że na tej odosobnionej wysepce, mogą zapomnieć na chwilę o ceremoniach i etykiecie.

Można powiedzieć że Capri jedynie swej piękności byt swój zawdzięcza, gdyż jest to tylko kształtna massa twardego wapienia, na której ziemia roślinna tylko ręką ludzką wytworzona została, przez nader ciężkie odrębywanie i pokruszanie skały, naniesieniem ziemi i podtrzymaniem jej przez mury z suchego kamienia, po za któremi posadzono winnice

Ale sztuczny ten grunt nie mógłby wyżywić blizko pięcio-tysięcznej ludności obu wiosek, i dlatego cała prawie ludność męzka rozproszona jest na okrętach żeglujących po różnych morzach lub też emigruje do Ameryki. Same tylko kobiety pracują na wyżywienie rodzin, czemu jednak nie zdołałyby podołać, gdyby nie coraz liczniejszy napływ cudzoziemców przybywających tu szczególniej na zimę, i przebywanie wielu bogaczy, którzy pobudowali sobie prześliczne ville, i rozkoszując się miejscowością malują otaczające krajobrazy, grają w szachy, polują i łowią ryby. Na Capri i Anticapri jest siedm czy osiem pensyonów; pałac biskupi, sąd pokoju prawie nie mający zajęcia i dwóch żandarmów wyznających szczerze iż nie mają nic do roboty.

W ścianie parafialnej wbity jest wielki gwóźdź, na którym zawiésza się znaleziony przedmiot, gdy więc kto co zgubi, idzie tam i zgubę z pewnością znajduje. Domy nigdy nie bywają zamykane. Na wyspie jest szkoła do której uczęszczają wszystkie dzieci i dlatego mówią po włosku czysto i poprawnie. Gdy zachęcony artykułem *Perèveranza* zapragnąłem poznać Capri, chłopczyk który służył mi za przewodnika, zapytał mnie: „czy to prawda że w Neapolu są złodzieje którzy kradną? Mieszkańcy są tak poczciwi że nie było przykładu kradzieży.

(d. n.)

Przegląd literacki.

(Dokończenie).

3. Cała gmatwanina niedojrzałych myśli pana A. A. K. jakoby używanie nazwisk Jasiewiczowa, Zarębianka i t. d. nie odpowiadało podwyższonemu dziś stanowisku kobiet, zupełnie nie ma żadnego sensu. To zupełnie tak samo jak gdyby kto powiedział, że dawna deklinacya rzeczownika *droga* (drogi, drodze, i t. d.) nie wystarcza już dziś, gdy mamy drogi żelazne, albo że potrzeba zaprowadzić zmianę w deklinacyi *uczeń*, *ucznia*, *uczniowi* i t. d. ponieważ teraz już uczniów rózgami nie chłoszczą.

4. Komiczną jest rzeczą że pan A. A. K., który dopiero co uznał formy nazwisk żeńskich za *ubliżające*, zgadza się pozostawić je dla nazwisk *świetniejszych* jak np. Sapieżyna, Chodkiewiczowa i t.d. Co gorszego to dla arystokratów—a to dopiero straszliwa demagogia gramatyczna! Sądzimy że raczej przeciwnie, pan A. A. K. mimowoli uznaje w swych potępionych przez siebie końcówkach rzecz szacowną, cenną i okazuje się arystokratą w sprawie języka, zachowując te specyały dla magnatów. Jedno i drugie jakoś śmieszne, a pogodzić się nie dają.

5. „Wpływy *ogólne* zachodu" są to zapewne wpływy tyczące się odzieży, urządzenia mieszkań, komfortu, nauk i t. d. Według pana A. A. K. naturalną jest rzeczą, gdy też wpływy dosięgają języka, ale my tego wniosku nie podzielamy, jako fałszywego i szkodliwego, nigdy i nigdzie nie wypowiedzianego i niestosownego. Rzym starożytny ulegał wpływom ogólnym cywilizacyjnym Grecyi, ale nikt nigdy z tego powodu nie żądał przerabiania języka łacińskiego na podobieństwo greckiego; Francya ulegała w literaturze i naukach w wieku XVI i XVII wpływom hiszpańskim, a w XVIII—angielskim, ale ani Corneille ani Wolter ani Montesquieu nie przerabiali swego języka, aby go zbliżyć do hiszpańskiego lub angielskiego. U nas w wieku XVI panował wpływ włoski, a jednak trudno o czystszą polszczyznę jak proza Górnickiego, który sam właśnie pisarzy włoskich tłomaczył. Wpływ *ogólny* daje tylko, co najwyżej, garstkę wyrazów obcych — technicznych lub specyalnych, dla których język krajowy nie ma jeszcze nazwy, a i to jeszcze wiedzieć potrzeba, że żaden język nie przyswaja sobie tak doskonale wyrazów obcych, zupełnie zacierając charakter ich cudzoziemski, jak właśnie język polski: (przykłady: *ganek*=Gang; *rynek*=Ring, *ołtarz*=altare, *bawełna*=Baumwolle i t. p.) Niemiec dodaje do czasowników łacińskich nie wiedzieć po co dwie sylaby *iren* (profitiren), a my od razu przerabiamy je na czysto polskie z końcówkami rodzinnemi (lustrować, profitować), cudzoziemcy zachowują formę łacińską *Horatius*, nie przypadkując jej wcale, my zaś mamy *Horacyusza* i *Horacego* i t. d. Nakoniec, gdy mowa o wpływach *ogólnych*, dlaczego pan A. A. K. mówi tylko o *zachodzie?* Wszak są jeszcze inne strony świata — *północ*, *wschód* i *południe*, których wpływy także domagają się uznania.

6. „Szorstkości" w nazwiskach żeńskich takich jak np. Zarębina, Derynżanka, Józefowiczówna i t. d. bynajmniej z panem A. A. K. nie widzimy: zdaje się nam owszem przeciwnie, że wyrazy zakończone na samogłoski (Derynżanka, Józefowiczówna, Jeżyna) bez wątpienia, zgodne z zasadami prawdziwej „eufonii (dźwięczności) brzmią nie tak szorstko i przyjemniej niż formy męzkie Deryng, Józefowicz, Jeż; istotnie szorstkie, bo zakończone na spółgłoski gardłowe i podniebienne.

Najciekawszym i całkowicie komicznym jest ostatni przytoczony powyżej dosłownie argument pana A. A. K. jako nazwiska żeńskie na *ina*, *anka* i t. d. nie powinny być używane dla tego że mają jednakowe zakończenie z wyrazami tak *pospolitemi*, jak surducina, zalecanka, pogadanka i t. d. Przedewszystkiem nie bardzo jest dla nas jasnem, co rozumie pan A. A. K. przez wyrazy *pospolite*. Jakieś skłonności arystokratyczne czyli raczej chętka do podziałów arystokratycznych i demokratycznych mało dla nas zrozumiała, przebija i tutaj. Zresztą co zawiniły panu A. A. K. owe biedne przez niego przytoczone wyrazy, może i nie arystokratyczne (?), ale równie dobre jak i wszystkie inne: żaden z nich bowiem nie jest grubym i nieprzyzwoitym, a nawet nie wszystkie mają znaczenie lekceważące (co, jak się zdaje, głównie pan A. A. K. ma im za złe), bo np. nie wiemy co nasz filolog upatrzył do poczciwego wyrazu *pogadanka?* Przypuśćmy jednak, że te i podobne wyrazy są istotnie *pospolite*, że nawet są *nieprzyzwoite*, których w dobrem towarzystwie należy unikać, to i tak jeszcze pojąć nie zdołamy, dla czego nie wolno używać wyrazów przyzwoitych, podobnych ze swoich końcówek do nieprzyzwoitych? Czy może pan A. A. K. myśli obłożyć interdyktem całe kategorye wyrazów mających wspólne zakończenie dla tego, że między temi wyrazami jest kilka pospolitych lub nieprzyzwoitych? Gdyby tu chodziło o rymy, gdyby pan A. A. K. pisał poetykę lub ocenę krytyczno-estetyczną jakiego poematu, lub utworów wierszowanych i wypowiedział tam zdanie że nie należy rymować wyrazów *Sapieżyna* lub *Zarębina* z wyrazami *baranina* lub *słonina*, miałby ze względów estetycznych zupełną słuszność, ale w prozie w mowie potocznej, co nas obchodzą podobne końcówki innych wyrazów? Przyjąwszy dziwaczną teoryą pana A. A. K. (pomijając już niepewność jego kryteryum co do wyrazów *pospolitych*) nie moglibyśmy *używać* wyrazu *dobrodziej*, bo tak samo kończy się *złodziej*; nie godzi się mówić *wybawca*, gdyż podobną końcówkę ma wyraz *oprawca*; nie wypada mówić *twierdzi*, bo podobne mają zakończenie *śmierdzi* i inne; nie można powiedzieć *znój*, bo to bardzo podobne do wyrazu *gnój* i t. d. Resztę analogii pozostawiamy pismom humorystycznym, dla których zaiste mogłoby być niezłem źródłem wypracowanie pana A. A. K.

Na zakończenie muszę wyrazić podziw, że redakcya Ateneum w tych wszystkich kwestyach; ważnych, interesujących i będących na czasie, nie ma żadnego zdania i przyjęła ryczałtowo cały zbiór osobliwszych twierdzeń pana A. A. K.. nie opatrzywszy go nigdzie ani jednem słówkiem, ani jednym przypiskiem, omówieniem lub zastrzeżeniem. Z tego powodu mamy prawo wnosić że redakcya tego czasopisma naukowego jest zupełnie solidarną z poglądami swojego lingwisty i że wszystkie błędy i dążności pana A. A. K. są w tej kwestyi również błędami i dążnościami czasopisma Ateneum.

Wywody pana A. A, K. znałazły jeszcze obrońcę w sprawozdawcy dziennika „Wiek", który przyznał im słuszność „najzupełniejszą." Nie dziwi to nas gdyż w tej gazecie tak zwani „recenzenci" piszą co im się podoba, czasem najosobliwsze dziwolągi, jak gdyby redakcya pozostawiała im pod tym względem najzupełniejszą swobodę.

L. S.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w kwartale drugim r. b. wychodzić będą podtemi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Niską tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny.

Adres: do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Przyjaciela Dzieci Nr. 10 wyszedł z druku i zawiera:

Szlązk i Szlązacy (z drzew.). — Córka Jaira (wiersz). — Z Paryża do Pekinu. — Obrazki z przeszłości. — Opowiadania historyczne. W Dod. dla dzieci: Z opowiadania Helenki.—Babunia (wiersz z drzeworytem).—Zagadka z abecadła.—Borsuki (z drzew.).—Rób powoli (wiersz). W Dodatku powieściowym: Zatracony.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 4 Марта 1880 г. Redaktor J K. Gregorowicz. Wydawca E Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 12 r. 1880.

SAWANTKA.

przez

Mistres Annie Edwardes

przekład z angielskiego

przez **J. B.**

I.

Fief-La-Reine.

Jesteśmy w Jersey, w fermie zbudowanej z granitu. Już przeszło od wieku słone i burzliwe fale uderzają o jej stare mury; kazamatowe okna budowli datują z ośmnastego stulecia: po nad wielkim przedsionkiem, wyryty jest normandzkiem pismem między dwoma połączonemi sercami, rok 1750.

Po nad głowami naszemi unosi się lekki wonny wietrzyk letni i niebo tak mocno i czysto błękitne iż błękitu takiego nie zdołałby wytworzyć razem zebrany błękit dwunastu czerwców angielskich. A jakaż to niezliczona liczba róż białych, różowych, żółtych, czerwonych, czepiających się ram okien, wspinających po nad odrzwia i gzemsy — gdzie spojrzeć róże i róże! Silny odór spalonej morszczyzny zagłuszał cudną woń kwitnących bzów, lewkonij, gwoździków, lawendy, rozedy, rosnących na kwaterach wysadzonych symetrycznie.

Słychać z oddali szum morza, z wnętrza domu dochodzi odgłos monotonnej miejscowej wiejskiej śpiewki, a głos śpiewającej oraz nuta nie mogą rościć sobie najmniejszej pretensyi do rytmu lub uczucia, zarówno jak słowa piosenki do jakiegokolwiek sensu.

Piękna diguedi,
Piękna diguedaine,
Piękna diguedon,
Dondon — dondon!

Śpiew zamilkł i nie daje się już słyszeć żaden odźwięk głosu ludzkiego. Dziś sianożęcie; to też Małgorzata, jedyna służąca w Fief-La-Reine; stara się skończyć jak najśpieszniej swe zajęcia kuchenne, aby pobiedz w pole pomagać chłopakom i dziewczętom. Pies domowy leży rozciągnięty przed sienią, rozkoszując się popołudniową drzemką; stary zegar ospale wydzwania godziny, fale ciepłego światła nadają tej miejscowości jakiś złudny koloryt Południa. Zdaje się że lada chwila odezwie się przenikliwy krzyk konika polnego możnaby pomyśleć że ta drżąca szafirowa powierzchnia wody są to fale morza Śródziemnego lub Adryatyku, a nie prosty odłamek morza angielskiego oddzielającego Cherburg od wysp la Manche.

„Urodzić się, popłakać i umrzeć — oto życia naszego wątek!...

Tak filozoficzno-melancholiczna myśl powstała w umyśle Dafny Chester, gdy ułożywszy ostatnią osełkę masła, wyjrzała na świat przez zacienione okno ciemnej i chłodnej mleczarni. „Teraz sianożęcie, po niem nastaną żniwa, kopanie kartofli i zasiewy—rok w rok jedno i to samo... Gdybym tak mogła dziś już mieć lata cioci Hosi! gdyby tak pewnego poranku obudzić się przespawszy trzydzieści czy czterdzieści żniw i zasiewów, zobaczyć koniec wszystkiego!... gdybyż życie było krótsze a nie tak monotonne!... Gdyby tak choć przez dwadzieścia cztery godzin nie było jednostajnego przypływu i odpływu morza, a Małgorzata zamiast tego wiekuistego *diguedon* zaśpiewała wtedy jaką bądź inną piosenkę!... Gdybyż nareszcie choć w jeden dzień targowy, można było odcisnąć na maśle inną nazwę jak Fief-la-Reine — i to już stanowiłoby jakąś odmianę!..."

„Mamusiu! zawołał z głębi ogrodu cienki przenikliwy głosik, chodź, chodź prędko. Pawełek go złapał."

Wychyliwszy się przez okno, Dafne zobaczyła swego Pawełka stojącego w klombie kwiatów, w zaciśniętych tłustych rączynach trzymał zgnieciony kapelusik a w nim zerwany najpiękniejszy gwoździk z kwitnących w ogrodzie, przedmiot najtroskliwszych zabiegów cioci Hosi.

„Pfe, Pawełku, jesteś niedobry i niegrzeczny! zawołała surowo pani Chester, o ile najsłodszy w świecie głos może wydać surowe dźwięki, szczególniej mówiąc do ukochanego synka. Od obiadu złamałeś już trzeci gwoździk z najpiękniejszego krzaka cioci Hosi... i tak zgniotłeś nowy twój kapelusik! Poczekaj, idę zaraz aby cię ukarać.

I w pięć minut potem była już w ogrodzie; ręce obnażone do łokcia, fartuszek zarzucony na głowę aby zasłonił ją od słońca, występując w charakterze sądziego aby wydać wyrok i ukarać jedynaka.

Dafne Chester jest to piękna, dwudziesto dwu leletnia istota, szczupła, wysmukła, pełna wrodzonego wdzięku i powabu, jaki tylko swobodne życie wiejskie i urocza prostota nadać może. Jej jasnoblond włosy połyskują jakby złotem, płeć jest różowa jak majowy poranek, oczy przejrzyste, łagodne jak u gazelli, co wszystko nadaje jej twarzy wyraz dziewic — matek Corregio'a. Oto jej powierzchowność. Ale w tej ślicznej twarzyczce kryje się przecież pewien tajemniczy brak moralny, jaki biegły fizyognomista dostrzegłby to od razu choć nie można wykazać żadnej wady, bo profil jest regularny, kształtne usteczka przysłaniają bielutkie ząbki, drobne i równe jak perełki: „Biedna nasza młoda pani jest chora bez choroby, mówią miejscowi mieszkańcy; postarzała zanim była młodą: jej rachunek z życiem już zamknięty."

„Chora bez choroby" zdrowy rozum chłopski trafnie rozwiązał zagadnienie.

Rozpatrzywszy się bacznie w tej młodej i świeżej twarzyczce, dostrzeżemy że brak w niej oczekiwania i nadziei, a spojrzenie jest przyćmione i smutne, jakie życie wybija w oczach osób czterdziesto lub pięćdziesięcio letnich, w których, stosownie do pojęć naszych, czytamy rezygnacyę lub rozpacz. Taki to wyraz czytamy w tej dwudziesto letniej twarzyczce, na której nie mogła się jeszcze zarysować najlżejsza skaza lub zmarszczka. Dafne Chester niczego nie oczekuje, nie może nawet zdobyć się na pragnienie doczekania czasu gdy Paweł będzie już mężczyzną.

Tak, serce biednej Dafne postarzało zanim jeszcze było młode; nabyło smutnego doświadczenia, poznało miłość i wierność mężczyzn, i chciałaby aby ukochany jej synek wiekuiście został dzieckiem, aby go zawsze przyciskać mogła do serca.

„Mamusiu, Pawełek go złapał! powtarza chłopczyna, patrząc na nią z zarumienioną tryumfem twarzyczką; widzisz, widzisz mamciu, złapałem, mam!

I ostrożnie wysunął z pod zgniecionego kapelusika, coś co przed chwilą było motylem, a teraz przedstawia jakby zbieraninę skrzydełek, łapek, złoconego pyłku, z której skutkiem zbyt mocnego ściśnięcia uleciały resztki życia.

„Pfe, Pawełku, znów zamordowałeś biednego motyla! On był tak szczęśliwy, latając wśród kwiatów w gronie swoich przyjaciół, nikomu nie robił nic złego a ty go zabiłeś... już teraz nie będzie latał...

— Eh, to Pawełek zabije innego! odrzekł obojętnie, śmiejąc się i pokazując białe ząbki, poczem ze wstrętem odrzucił zwłoki biednej ofiary, mówiąc: Pójdź precz, szkaradny motylu!

Pani Chester wzięła chłopca na ręce, popatrzyła chwilkę z wyrzutem w jego śliczną zuchwałą twarzyczkę, poczem okryła go pocałunkami — i tak to zawsze kończyły się wszystkie kary Pawełka.

— Pieszczoszku mój najdroższy, szepnęła niosąc go na ręku, pomyśl trochę i powiedz mi czy bardzo kochasz Mamusię?

Pawełek podniósł rączkę i pokazując kawałek paluszka, rzekł bez namysłu: „ot, tyle.

„A swoje trzy ciocie które chcą aby Pawełek urosł na dużego i rozumnego chłopca?"

Pawełek podniósł niewinnie oczki w niebo jakby nie słyszał pytania, i zaczął wybijać jakieś *impromptu* swego układu na ramionach matki!

— Jakto, nic ich nie kochasz, nawet i tej dobrej cioci Hosi co ci daje taką doskonałą kawę na podwieczorek?

Wspomnienie kawy z bułeczką trafiło do serca Pawełka; pomyślał trochę i nareszcie pokazał całą wyciągniętą rączkę.

— A naszego Andrzeja co cię bierze z sobą w pole i pozwala jeździć na Lizie ciągnącej pług?

Tu już chłopczyna bez namysłu rozciągnął obie ręce jak mógł najwięcej, mówiąc:

— Pawełek bardzo, bardzo kocha Andrzeja, daleko nawet więcej niż ciebie, mamusiu.

Dafne drgnęła; należała ona do tych kobiet które potrzebują koniecznie słyszeć nieustannie zapewnienia przywiązania z ust ukochanej istoty, choćby tą istotą było własne zaledwie dobrze mówiące dziecię.

— A czy bardzo, bardzo będziesz kochać i ucałujesz mamusię, jeźli ci powiem wielki sekret.

Dziecię pieszczotliwie przytuliło się do matki; trzyletni chłopczyk rozumiał już dobrze iż dla niego wyraz *sekret* oznacza zawsze jakąś pożądaną przyjemność i niespodziankę.

— Jutro Jan kończy sianożęcie, i dla tego ciocia Hosia i ja piekłyśmy dziś ciasto i mamy śliczny mały placuszek dla Pawełka.

— Cały dla mnie?

— Tak, cały, a na wierzchu jest twoje imię wypisane pożeczkami. Ucieszyłeś się — a ileż za to mamusia dostanie pocałunków?

Chłopczyna ściskał matkę co miał sił i całował jej twarz i szyję; wtem zobaczył latającego ślicznego motyla, wyrwał się więc z objęć matki i pobiegł za nim machając kapeluszem.

Dafne stała nieruchoma wpatrując się w malca dopókąd nie znikł za szpalerem, aż usłyszawszy wołanie z pierwszego piętra, zwróciła się ku domowi.

„Dafne! Dafne! a gdzież jest Dafne Chester?

Znać było że to głos kobiety niemłodej ale mimo to posiadał pewną siłę i powagę; słysząc go trzeba było wnosić że to głos osoby która przez jakie lat kilkadziesiąt nawykła rozkazywać a prosić nie umiała.

„Hortensyo, mówił znów tenże głos, chciałabym wiedzieć czy siostrzenica nasza Dafne Chester, skutkiem zwykłego swego roztargnienia, zapomniała dziś o listach i gazetach?

I w tejże chwili otworzyły się drzwi w korytarzu naprzeciw kuchni i ukazała się w nich dama ubrana według najświeższej mody.

Powiedzieliśmy „podług najświeższej mody" ale nie należy brać tego w dosłownem znaczeniu. Jedwabna suknia Teodory Vansittart była już dobrze znoszona, ale odświeżyła ją starannie za pomocą modnych dodatków i garnirunków, podanych w ostatnich numerach *Petit Courrier des Dames;* kołnierzyk i mankietki były najmodniejsze w Oxfort-Street—w roku zeszłym. Jasne jej, gęste jeszcze, choć już na wpół siwe włosy, uczesane były starannie, ale w sposób daleko odpowiedniejszy dla miodziutkiej panienki niż dla miss liczącej sześćdziesiąt wiosen; do tego miała na głowie ubiorek z koronki, róż i wstążek, a w ręku trzymała *keepsake* którego błękitna, złoceniami ozdobiona okładka, pamiętała młode lata miss Teodory.

„Kochana Dafne, rzekła do wchodzącej, czy podobna abyś zapomniała o listach i gazetach!... doprawdy to się nie godzi.

Teodora Vansittart prawie nie byłaby zdolną nadać głosowi swemu jakiś oddźwięk cierpkości—pfe! byłoby to za nadto plebejuszowskie—jest w nim jednak pewien odcień wyrzutu i niezadowolnienia który zdawał się mówić:

„Widzisz ja spełniłam mój obowiązek, ustroiłam się w jedwabną suknię, włosy ułożyłam modnie, a *keepsake* który trzymam w białych rękach, daje poznać że się zajmuję literaturą. Zachowuję więc pozory odpowiednie memu urodzeniu i wychowaniu, a to wszystko w przewidywaniu że mógłby przybyć ktoś z gości—ty zaś o niczem nie myślisz...

— Ja i ciocia Hosia miałyśmy dziś bardzo wiele do roboty; odrzekła Dafne z poszanowaniem jakie pracujący okazują bezwiednie próżnującym. Trzeba było zaczynić i wybijać ciasto do pieczywa jakie musimy przyrządzić na jutro, z powodu ukończenia sianożęcia; musiałam utłuc cukier, wybić jaja, posiekać migdały, a nadto porobić osełki masła...

— Doprawdy, pojąć nie mogę jak można tak dobrowolnie poniżać się do pracy ręcznej, przerwała miss Teodora wzruszając ramionami i spoglądając na swoją wygarnirowaną suknię i delikatne nieużyteczne ręce. Biedny nasz tatko zawsze mówił: Możesz czuwać nad zarządem domowym jak ci się podoba; wydaj codzienne rozkazy gospodyni, która powinna być odpowiedzialną za ich wykonanie, ale nie przekraczaj do tego progu salonu, jeźli chcesz żeby służba cię szanowała. Czyżby Małgośka nie mogła upiec ciasta dla robotników i ubić osełki masła na targ, zamiast żebyście się tem zajmowały z Hortensyą—do czego to podobne?...

Dafne nic na to nie odpowiedziała. Odświeżane znoszone materye, próżnujące ręce, wykwintna niby literatura, mistyczne obowiązki względem fikcyjnego towarzystwa i gości, otoczyły już od dawna miss Teodorę w oczach całego domu, jakąś aureol nieodpowiedzialności. Nawet mały Pawełek, piesek i kotki zdawały się pojmować że miss Teodora nie była ulepiona z jednakiej gliny i nie mogła zajmować się takiemi marnościami jak Dafne i ciocia Hortensya.

— Wiem że szkoda słów aby tego dowodzić, mówiła dalej; dziwactwa Hortensyi nie zmniejszyły się z wiekiem, niestety! ale ciężko to cierpieć na każdym kroku z powodu, że tak powiem, wyrafinowanego czyjegoś samolubstwa. Biedny twój dziadzio, pułkownik Jerzy Vansittart, najłagodniejszy i najzgodniejszy w świecie człowiek, mawiał zwykle że nie ma nic nieznośniejszego na tym padole, jak długie oczekiwanie na listy. Zatem czy mogę prosić cię, kochana Dafne, żebyś się ubrała i poszła z Pawełkiem do Queruée abym jak najprędzej dostała listy. Mówisz że nie ma Małgosi? pewnie pobiegła w pole do swego kawalera, w takim razie staraj się wracać jak można najśpieszniej, bo mógłby nadejść ktoś z gości...

W ciągu roku przychodziło, co najwięcej, dziesięć lub dwadzieścia listów do Fief-la-Reine. Czasami zabłąkał się jakiś giełdowy cyrkularz, z powodu że kiedyś przyszło do głowy miss Teodorze napisać do jakiegoś agenta zapytując: jakie akcye dają najpewniejszą rękojmię bezpieczeństwa kapitału, z czego wnosząc, ajent ów uważał ją za kapitalistkę spekulantkę i posyłał niektóre okólniki. Raz w tydzień siostry Vansittart odbierały jeszcze *Cheltenham-Looker-On* i przedpotopowy *Court Journal.* Na nowy rok, dostawcy przysełali skromne swoje rachunki — oto wszystko co odbierały z poczty. Ale nawyknienie staje się nałogiem, i dla tego to dwie misses Vansittart wyczekiwały codzień poczty tak niecierpliwie, jak kiedyś, za czasów dawno ubiegłej szczęśliwej młodości, kiedy odbierały bileciki miłosne, listy od znajomych i przyjaciół, zaproszenia na obiady, bale i wieczory. Pogoda czy słota, Dafne musiała chodzić do sklepiku w Querée, w którym, stosownie do umowy, wiejski listonosz miał zostawiać codziennie nie istniejące listy do Fief-la-Reine.

— Gdyby termometr nie wskazywał 30 stopni gorąca, zabrałabym Pawełka, odrzekła Dafne, na taki upał za daleka to dla niego przechadzka; ale jeźliby ciocia Teodora chciała popilnować go w ogrodzie, poszłabym sama; dodała wyrzucając sobie tak wielką śmiałość, iż odważyła się prosić miss Vansittart aby choć chwilę zajęła się czemś kolwiek. Pawełek nie sprawiłby cioci przykrości, w ogrodzie zawsze jest grzeczny.

— Pawełek nigdy nie jest grzeczny, ani w domu ani za domem, odrzekła stanowczo miss Teodora; ale skoro uważasz że jest to koniecznie potrzebnem to już decyduję się popilnować go podczas twojej nieobecności. Gdy ja byłam dzieckiem, dodała z poważną miną, ludzie dobrze wychowani wierzyli że nadziemska potęga rządzi światem, a rodzice ślepo ufali Opatrzności.

— I ja wierzę i ufam Opatrzności, ale gdy przypływ morza opadnie, odpowiedziała Dafne. Przypomnij sobie ciociu, wnuka pana Hamon'a, i pomyśl tylko jak łatwo zdradziecki przypływ wiosenny mógłby zaskoczyć Pawełka, i unieść go zanim żywa dusza mogłaby przybiedz mu na pomoc.

I na samą myśl podobnego niebezpieczeństwa, Dafne zbladła a oczy jej zrosiły się łzami.

— A! odrzekła z rozdrażnieniem miss Teodora, chorobliwe rozdrażnienie, brak ufności w opiekę Bożą i przedwczesne przewidywanie jakichś nieszczęść, oto główne wady twoje. Dawniej, kiedy my byłyśmy dziećmi, matki nasze nie znały żadnych drażliwości nerwów, i dzieciom lepiej z tem było Bądźspokojna, Pawełek jest za nadto samolubny aby nie myślał o sobie. Patrz, oto i teraz niszczy najpiękniejsze kwiaty, dla dogodzenia swej fantazyi. Ale skoro koniecznie chcesz tego, pójdę do ogrodu z książką, i będę czuwać... nad gwoździkami i geranią—które niezaprzeczenie potrzebują opieki podczas twojej nieobecności.

I pani Chester odeszła spokojna, widząc że miss Teodora włożywszy pasterkę przechadza się napu-

szenie z książką w ręku po zielonej murawie na której bawił się Pawełek.

„Bywaj zdrów, pieszczoszku, rzekła odchodząc, nie chwytaj już biednych motyli, nie oddalaj się od cioci Teodory, a dostaniesz jutro śliczny placuszek.“

Czytelnicy mogli już zauważyć że system wychowania pani Chester, zasadzał się na nagrodach, obietnicach, psuciu pieszczotami i t. p... Odeszła wązką drożyną, miss Teodora i Pawełek zostali sami.

Słońce dopiekało coraz więcej; o tej porze w ogrodzie mało bardzo było cieniu. Przeszedłszy ze dwanaście razy po spieczonym tarasie, miss Teodora miała wielką ochotę wrócić do chłodnego salonu z dębową posadzką, w którym rozchodziła się miła woń róż i jasminów—tym więcej iż najmocniej była przekonana że malcowi najmniejsze nie grozi niebezpieczeństwo, a sama myśl pilnowania trzechletniego chłopca bawiącego się wśród kwiatów, wydawała jej się co najmniej śmieszną. Jednocześnie Pawełek śledził z pod oka ruchy ciotki, zamyślając widocznie o jakichś zakazanych wybrykach.

Ale miss Teodora miała głębokie poczucie świętości dawanych przyrzeczeń, więc bądź co bądź dotrzyma swojego. W najodleglejszej stronie ogrodu z którego rozległy na morze roztaczał się widok, rosło wielkie figowe drzewo, a rozłożyste jego gałęzie tworzyły rodzaj altanki, w której stał stolik i kilka krzesełek, — tam udała się miss Teodora z książką w ręku, i włożywszy okulary zaczęła czytać przygody różnych lady i gentlemanów, a Pawełek, jakby chcąc uśpić wszelkie jej podejrzenia, przechadzał się jak najspokojniej trzymając palec na ustach, ale jednocześnie spoglądając z pod oka na swą dozorczynię.

W miarę obniżania się słońca, atmosfera stawała się coraz duszniejszą, a daleki jeszcze przypływ morza szemrał coś tak cicho i łagodnie, jak wietrzyk przesuwający się między drzewami ogrodu. Głowa miss Teodory zaczęła się pochylać, ale podnosiła ją nagłym jakby podskokiem, poprawiła okulary i znowu zaczynała czytać zajmujące dzieje bohaterki wielko światowego romansu.

Co się stanie z dziewicą w jedwabnych szatach? jak postąpi subretka w perkalikowej sukience? Czy zuchwała zbrodnia zostanie ukaraną a cnota wynagrodzoną?... Oto nad czem rozmyślała.

Ale miss Teodora wpadała teraz w stan poprzedzający sen, w którym zmysły znoszą się jeszcze z mózgiem, ale bez związku i ciągu; czuła woń lawendy i bzów, widziała litery wydrukowane na stronnicach książki, ale niewyraźnie, jakby przez mgłę. Chciała odegnać ogarniającą ją senność, ale trudna to była walka; nie mogła się otrząsnąć z coraz silniejszej niemocy i bezświadomości czy to sen czy jawa, nareszcie zamknęła oczy, opuszczona głowa nie probowała się podnieść. Pawełek zrozumiał że teraz miss Teodora nie posłyszy lekkich jego kroków.

Jakoż w tej chwili bohater, bohaterka i wszelkie ich przygody, razem z książką opadły na kolana miss Teodory...

Ale też nie marzy ona teraz o zmyślonych bohaterach i bohaterkach. Senne marzenie przeniosło ją w owe czasy gdy Teodora Vansittart była dwudziesto letnią dziewczyną, w lekkiej różowej sukni z szerokiemi rękawami, we włosach świeże kwiaty, kiedy otaczał ją rój zazdrośnych wielbicieli. Było to na Malcie, gdzie ojciec jej, pułkownik Jerzy Vansittart, dowodził pułkiem. Przed nią roztaczają się błękitne wody morskiego portu a w nich stoją zanurzone wojenne fregaty i jaskrawo pomalowane korwety, a dalej na horyzoncie rysują się śpiczaste szczyty i forty cytadelli Civita-Vecchia. Wtem muzyka wojskowa zagrała jakiś skoczny taniec, a biedna, tak dziś zwiędła miss Teodora uczuła jak dobrze znane ramię objęło jej kibić; tkliwy głos szepcze jej do ucha czułe wyznanie, na które odpowiada słówkiem które byłoby uszczęśliwiło dwie istoty. Książka z rąk jej wypadła — nie słyszy szelestu liści ani coraz głośniejszego szumu zwiększającego się przypływu. Miss Teodora śpi w najlepsze.

A Pawełek zapatrzony w twarz ciotki, przesuwa się koło niej cichutko na paluszkach, tłumiąc oddech: jeżeli uda mu się przemknąć i nie obudzić jej, będzie mógł pobiedz na morskie wybrzeże, na śliczne skały i patrzeć na tak pięknie rozbijające się o nie fale. Nie dawno temu, matka trzymając go za ręce, zaprowadziła go na krańce morskich wybrzeży, aż do wieży Gabrielles, oddzielonej od lądu wązką smugą morskiej wody. Pamiętał doskonale że widział morskie raki, które wydały mu się jakiemiś wielkiemi potwornemi zwierzętami, uganiającemi się po skalistych wybrzeżach, pamiętał że *Mamusia* niosła zdjęte jego trzewiczki i pończoszki, a on boso biegał po miałkim wilgotnym piasku, zbierając rozrucone po nim muszle. I wyobrażał sobie coby to była za rozkosz; tak samemu, bez Mamusi, biegać po nadbrzeżnej wodzie w trzewiczkach i pończoszkach, aby woda sięgała mu za kolana i aż sukienkę zmoczyła; łapać rybki w kapelusik, a nikt nie mógłby wołać co chwila: „Pawełku, tak nie można.

Ach! żeby tylko ciocia Teodora się nie przebudziła!

Ale śpi smacznie. Przechyloną głowę wsparła o poręcz krzesła; usta ma nieco otwarte, okulary zsunęły się na sam brzeg jej orlego nosa—Pawełek szybko przebiegł koło niej i leciał jak mógł najprędzej ku Gabrielles, a przypływ posuwał się powoli i miał niebawem otoczyć go ze wszech stron.

II.

Uczoność.

Przypływ coraz więcej roztacza się w około Pawełka, a matka nie przeczuwając tego, dąży spokojnie zieloną ścieżką, oddychając wonią letnich wyziewów. Po nad jej głową roztacza się błękitne niebo; wesoły gwar żniwiarzy rozlega się po polach; wszystko zdaje się oddychać spokojem i radością; zdawałoby się że w tym świecie tak wesołym i szczęśliwym, żadne niebezpieczeństwo, żadna nieubłagana przygoda pojawić się nie może.

We wszystkich porach roku, łąki Jersey nęcą szczególniejszym urokiem, jakąś im tylko właściwą pięknością, jakiej nie przedstawiają wielkie przestrzenie i rozległe horyzonty. W środku czerwca urok ten dosięga do zenitu, tarniny już okwitły, a jednak tu i owdzie zalata skądś miła woń majowego wietrzyku. Ostry zapach kwitnącej czeremchy daleko się rozchodzi: dzikie róże nasycają powietrze swoją delikatną wonią. Wszędzie widzieć można żywopłoty z kaprifolium, akacyi i dzikich wisien. W pośród tego przepychu barw i woni, Dafne szła już to cieniem już po słońcu, stanowiąc największą ozdobę ślicznego tego krajobrazu, szła zarówno nieświadoma swej pieknosci jak kwiat swego zapachu.

Śliczne ustępy jakie poeci poświęcili pięknościom, nie znającym potęgi swych wdzięków, utworzyłyby całe tomy; co do mnie mam najmocniejsze przekonanie że nie znalazłby ani jednej dwudziesto dwu letniej kobiety, któraby będąc piękną nie wiedziała o tem. Dafne Chester mogła stanowić wyjątek z powodu nienormalnego *„chorobnego“* stanu w jakim się znajdowała „jej rachunek z życiem był już zamknięty.“ Nawet ubiór, ten niemylny barometr serc kobiecych, był dla niej zupełnie obojętny. Proste córki fermierów nosiły już tuniki, *paniers* i różne modne garnirunki, a ona miała na sobie suknię skrojoną w proste bryty, jak noszono przed dwunastu laty, a na gładko zaczesanych włosach słomkowy kapelusz z wielkiem rondem, zamiast eleganckiej *Pameli* lub *à la Rubens*, w jakie stroiły się nawet wiejskie dziewczęta.

Na stu mężczyzn, dziewięćdziesięciu-dziewięciu przeszłoby obojętnie koło pani Chester nie obejrzawszy się za nią (tak panowie nawykli dziś do przesadnych strojów i sztucznych wdzięków) — ale za to setny...

Setny szedł z albumem pod pachą i z cygarem w ustach, i spotkał Dafne w chwili gdy weszła w jedyne na całej drodze zupełnie osamotnione przejście, wśród pola jęczmienia tak odległego od wszelkich zabudowań iż dachów ich nawet nie widać, i żaden głos z nikąd nie dochodzi.

Dafne zmięszała się, mocny rumieniec wystąpił na jej czoło i policzki i pomyślała sobie: "exkursyonista“ a trzeba wiedzieć że miejscowi mieszkańcy nadają to pogardliwe miano (excursionniste) każdej nieznanej istocie rodzaju mezkiego jaką napotykają po drogach swoich od maja do października; nazwa ta streszcza w sobie: czelność w wychodzeniu z kobietami, nieposzanowanie płotów i zagrodzeń, bilet powrotny nabyty za pięć funtów szterlingów na stacyi Wiktorya, kapelusz opasany tęczową wstążką z długiemi końcami i najgorsze cygara.

Co pocznie Dafne Chester? Nie ma innej rady jak przybrać najsurowszy wyraz na jaki śliczna, łagodna jej twarzyczka zdobyć się może, utkwić wzrok w jak najdalszy horyzont, nie słuchać kawiarnianego komplementu jakim nieznajomy mógłby ją uraczyć i *obtarlszy się* koło niego, iść dalej. Mówimy *obtarlszy się* gdyż inaczej przejść niepodobna, z powodu że z obu stron zagradzają drogę długie pochylone kłosy jęczmienia.

Mocniejszy jeszcze rumieniec pokrył twarz młodej kobiety, ale nadrabia miną i idzie dalej. Nieznajomy jest teraz o jakie dwanaście kroków od niej; jest to wysoki może dwudziesto pięcioletni młodzieniec, dobrze zbudowany, postawa śmiała i pewna siebie, możnaby go wziąść za wojskowego. Ale w całej jego postawie jest coś świeżego i młodzieńczego, przypominającego studenta tylko co wyszłego z Harrow lub Rigby.

„Nie, to nie jest *exkursyonista* pomyślała przelotnie Dafne.

Jakiż to jest ów delikatny zmysł nieznany fizyologom, mocą którego kobieta zapatrzona w dal, może jednak dostrzedz i wydać sąd o najdrobniejszych szczegółach twarzy i postaci spotkanego nieznajomego?

„Trzyma album, więc to człowiek ukształcony; spotkawszy mnie rzucił cygaro, jest więc dobrze wychowany. Wie jak trzymać ręce i umie patrzeć na mnie tak że mnie spojrzenie jego nie mięsza.“

(d. c. n.)

VILLA HORTENSIA.

przez

Antonio Caccianiga.

Przekład z włoskiego

przez J. B.

(Dokończenie).

— A! namyśliłeś się nareszcie, rzekła składając ręce. Kocham cię całem sercem za litość twoją i dobroć dla mnie upadłej. Przysięgam że całe życie będę dla ciebie wierną i przywiązaną żoną... kocham cię i zawsze w tobie pokładałam nadzieję... i dla tego wolałam ciężko pracować tu na kawałek chleba, niż pójść do obowiązku, przez co musiałabym oddalić się od ciebie.

— Możemy jeszcze być szczęśliwi i żyć wesoło wśród kwiatów, rzekł Franciszek, łącząc w jedną dwie miłości swoje.

Pamięć o chorobie hrabiny nie dozwalała im dłużej cieszyć się szczęściem swojem; Fiorina zapakowała prędko najpotrzebniejsze rzeczy, oddała tłomoczek Franciszkowi, i serdecznie pożegnawszy się z Moniką, poszli do pałacu.

Przybywszy tam, dowiedzieli się zaraz że stan zdrowia chorej znacznie się pogorszył; Fiorina udała się niezwłocznie do pokoju hrabiny.

Zapalenie mózgu spowodowało malignę, towarzyszącą zwykle gwałtownym i niebezpiecznym gorączkom, a ciągła senność, słowa urywane i bez związku obok coraz większego wyczerpywania się sił żywotnych, wytworzyły stan bardzo groźny.

Cipriano, nie nawykły do podobnych widoków, musiał opuścić pokój hrabiny, zostawiając ją pod opieką doktora i dwóch kobiet.

Początkowo, hrabina miała chwilami przytomność i znała stan swój, potem nagle zapadała w sen niespokojny, poprzedzający często ostatnie chwile. Wtem zerwała się nagle skarżąc się na okropny ból głowy; otwarte szeroko nieruchome jej oczy, zdawały się szukać kogoś.

Valentino zbliżył się do łóżka; był nadzwyczaj blady. Berta spojrzała się na niego jak patrzeć muszą anieli i rzekła cichym, jakby gasnącym głosem:

„Dzięki niebu, wkrótce już przestanę cierpieć... tyle, tyle przebolałam.. życie moje było tylko długą męczarnią... Valentino, jedyne błogie chwile są te które spędziłam z tobą... nie miałam siły rozstać się z tobą na zawsze... Oh! jakże ja cierpię!... w głowie taki zawrót, taki chaos... nie widzę nic prawie... otwórzcie okno... dajcie mi powietrza i światła... abym raz jeszcze mogła zobaczyć Valentina... Czy pamiętasz, przyjacielu, te piękne nasze przechadzki w górach? tam dusze nasze podziwiały wspólnie piękność przyrody... co za zieloność... jakie śliczne kwiaty... już ich więcej nie zobaczę!... O! Boże mój! jakiż strach mnie przejmuje... patrzcie jakie bezdenne przepaście... a! i ten człowiek czyhający na ciebie... i te szkaradne węże... O! Boże! mój Boże!... Czy jesteś tu, Valentino? ach! błagam cię nie opuszczaj mnie! daj mi rękę, niech czuję że jesteś przy mnie... oh! nie zostawiaj mnie samej *z nim*... przez litość nie odchodź... ja go się tak boję... takim mnie strachem przejmuje... A! ileż to strasznych przeżyłam nocy!... sen uciekał z powiek moich... chodź tu, Valentino, chodź... przybliż się... niech cię przycisnę do serca... teraz będę twoją na wieki... tam, tam w niebie!... Czy pamiętasz owo zaślepienie które w ciemnościach więziło twój umysł?.,. dusza moja twoją zbudziła z uśpienia... teraz wiesz już że jest dusza, widząc jak moja czysta i nieskalana... ulata ku niebieskim przestrzeniom...“

Potem, po długiem milczeniu, wyszeptała kilka wyrazów bez związku—aż nagle zawołała czystym, wyraźnym głosem:

— A! nareszcie skończyło się moje ziemskie życie!... umieram... Valentino, idę czekać na ciebie tam.. wysoko.. gdzie dusza staje się wolną na wieki!..“

To powiedziawszy, straciła przytomność. Kobiety płakały; doktór stał nieruchomy przy łóżku wpatrując się w nią z rozpaczą; pot kroplami spływał z jego czoła.

Konanie trwało długo; oddech stawał się coraz słabszym; oczy nabierały szklistego spojrzenia; usta zsiniały; zaciśnięte zęby zapowiadały zbliżanie się ostatniej chwili. Cipriano wchodził niekiedy do pokoju, stawał na progu i uciekał trwogą przejęty.

Valentino spędził całą noc przy łożu umierającej; odwilżał jej zaschłe usta, ocierał pot z jej czoła wpatrując się z boleścią w te piękne rysy wykrzywione konaniem, słuchając bicia tego wzniosłego serca, wracającego do nieba.

Oddech ustał; gdy dzień świtać zaczął hrabina ostatnie wydała tchnienie. Twarz jej rozpogodziła się wyrazem wiecznego spokoju.

Valentino otworzył okno, i blady promień jesiennego słońca padł na poduszkę na której spoczywała głowa zmarłej.

Zamknął jej powieki, poprawił rozrzucone na czole włosy, i wpatrzył się w nią po raz ostatni, niewysłowionem miotany wzruszeniem. Cipriano wszedł do pokoju, wlepił ponury wzrok w martwe zwłoki żony, i zawołał:

„Jeszcze jest piękna!

Potem zwrócił się do doktora, mówiąc:

„Więc wszystko się skończyło?

— Nie, odrzekł Valentino; nie, nie wszystko się skończyło... Tu leżą tylko martwe jej zwłoki... jej piękna dusza do lepszego uleciała świata...

— Więc teraz wierzysz w życie przyszłe?!.. wierzysz w nieśmiertelność duszy?

— Tak, wierzę niezachwianie!... ten anioł przekonał mnie o tem. Nadziemskiem światłem rozjaśniła mój umysł... wykazała mi jak ciasne są granice wiedzy nie wierzącej jak tylko w to co widzi, co pod zmysły podpada... Zarówno jak rozum odkrywa nam inne światy po za dostrzeganemi przez teleskop, tak serce objawia nam istnienie duszy nie dającej się dostrzedz okiem profanów... Tak, dusza istnieje, ale nie dowodzić i wykazać, tylko odczuwać ją trzeba... Życie nigdy się nie kończy, śmierć jest tylko pozorem... nie istnieje ona w przyrodzie, gdyż w wszechświecie wszystko żyje, a to co uważamy za koniec jest tylko przekształceniem. Samo nawet ciało zmartwychwstaje na ziemi w innych postaciach, duch zaś, będący tem co w nas jest najwznioślejszego, nie może się unicestwić, ulatuje on w inne przestrzenie... Natura nie tworzy nic niekompletnego, bezcelowego... a jakiż byłby cel tak wzniosłego życia jak życie takiego anioła, gdyby to wszystko kończyć się miało?... Taka czysta, nieskalana, szlachetna i pełna poświęcenia, i miałażby po to jedynie przyjść na świat aby płakać, cierpieć i umierać? Żywić cały świat wzniosłych i pięknych myśli, po to aby się rozwiały marnie? czynić dobrze, postępować wzorowo, aby w zamianę całe życie przecierpieć i męczyć się; kochać czystą świętą miłością, czuć w sobie iskrę boskiego ognia, zdolną tworzyć rzeczy wielkie — i umierać i nic nie pozostawić po sobie — nie to niepodobna!... Życie ludzkie nie jest przypadkiem i jałową walką... dzieje ludzkości wynikiem przypadku... a występek, cnota, geniusz... przypadkowemi emanacyami... Tak, to niepodobna!... Ciało jest tylko powłoką... te martwe zwłoki nie są Bertą... Jej najpiękniejsza, najszlachetniejsza cząstka, czeka uzupełnienia przerwanego swego przeznaczenia w jakichś strefach nieskończonego wszechświata, w którym Przedwieczna Sprawiedliwość likwiduje rachunki zawiezone w ziemskim świecie... Ja wierzę, ja czuję że jeszcze zobaczę Bertę!...“

Wypowiedziawszy te myśli swoje, orzucił umarłą ostatniem spojrzeniem, i nie zwracając uwagi na Cipriana, prędko wybiegł z pokoju.

Hrabia osłupiał ujrzawszy go wychodzącego w ten sposób. Nie wiele słuchał a mniej jeszcze zrozumiał mysli wypowiedziane przez doktora, sądził więc że przyjaciel z rozpaczy stracił rozum. Zbliżywszy się do okna, widział że wychodząc z pałacu Valentino chwiał się na nogach i zataczał jakby pijany, uderzał się o drzewa, zawracał i bezprzytomnym wzrokiem rozglądał w około.

Niebo było pochmurne, jakby przywdziało żałobę po zmarłej; wiatr pomiatał i unosił liście które jesień strącała z drzew.

Choroba i śmierć Berty tak szybko po sobie nastąpiły, że hrabia wstrząśnięty tylu bolesnemi wrażeniami, zapomniał zupełnie o rocznicy ślubu tego właśnie dnia przypadającej. Zaproszeni zjechali się w świetne przybrani stroje, hrabia przyjmował ich w obec łoża śmierci i zmuszeni byli pozostać na noc w pałacu, aby nazajutrz być obecnymi na pogrzebie.

Poczciwy markiz płakał szczerze nad smutnym losem nieszczęśliwej Berty, która stała się ofiarą szaleństw jego synowca; baronowa Montferrano, była niepocieszoną że przyjechała w obiadowej toalecie, i nie mogła darować hrabiemu Cipriano jego niestosownego zachowania, iż nie zawiadomił ją telegramem jak powinna była się ubrać.

Złożono Bertę do trumny w białej sukni i w ślubnym wieńcu na głowie; trumna wybita była białym atłasem, przysłonięta białym aksamitem w złote gwiazdy, i zarzucona wieńcami świeżych kwiatów. Wiejskie dziewczęta, ubrane w białe suknie, miały odprowadzić ją na miejsce wiecznego spoczynku—gdy wtem smutna wieść rozeszła się po okolicy i doszła do villi Hortensia.

Doktór Valentino Gabrielli, znaleziony został martwym tuż obok łóżka swego. Na ciele nie było żadnych oznak gwałtu ani trucizny, nic więc nie dozwalało dopuszczać zbrodni ani samobójstwa. Przyzwani z powodu nagłej śmierci lekarze, oznajmili jednozgodnie że była ona następstwem anewrizmu.

Dowiedziawszy się o tej przerażającej wiadomości, Cipriano w uniesieniu wściekłości podniósł w górę zaciśnięte pięści, i zwracając ku niebu spojrzenie pałające bezsilnym gniewem—jak sokół rozzłoszczony że nie może pochwycić dwóch jaskułek odlatujących szybkim swym lotem i znikających przed nim w lazurze niezmierzonego firmamentu—zawołał z nieopisaną zawiścią:

— A! poszedł się z nią połączyć!... a oczy jego złowrogim zabłysły gniewem.

Jeszcze pośmiertnej miłości zazdrościł biednym zmarłym!...

Opis do N-ru 11.

(Ciąg dalszy).

Jak to widać na ryc. 28 stanik ma plecki złożone z czterech części, a u dołu do przodów, boczków i pierwszych części pleców dodane są obłożenia mające w środku 8, po brzegach 16 cent. szerokości, oznaczone literą *a*. Części baskiny literą *b* oznaczone, przyszywają się górnym wązkim końcem, do środkowych części pleców, następnie szew środkowy przedłuża się o 22 cent. aż do gwiazdki, boki tylnej baskiny podszywa się listewką skośną, 6 c. szeroką, u dołu i wgórze daje się fałdę 3 cent. głęboką, potem obie fałdy składają się do siebie zeszywają pod guzikiem a środek stanowi pukiel beduinowy. Dolny 13 cent szeroki skośnie ścięty róg zeszywa się z przednią baskiną od krzyżyka do dwukropka, a brzeg dolny oszywa się frendzlą. Górne przybranie stanika widoczne na ryc. 2 28.



N. 1. Koronka niciana z wyszyciem kolorowem.



N. 2. Suknia muślinowa dla młodej panienki. Patrz ryc. 3.

N. 3. Ubranie z białego muślinu lub batystu do pierwszej komunii.

Wązko obrąbione i biało plisowane falbanki 8, 6 i 4 cent. szerokie, trochę przymarszczone, stanowią garnirunek spódnicy zakończony w górze riuszą z plisowania środkiem sfałdowanego; takaż riusza zdobi tunikę środkiem i z boków przemarszczoną. Stanik z baskiną ubrany fałdowanym skosem 15 c. i plisowaniem 4 cent. szerokiem, naszytem w ten sposób iż odznacza kamizelkę; pasek z białej wstążki zapięty rozetką.



N. 3. Suknia muślinowa dla młodej panienki. Patrz ryc. 2.

N. 4 i ryc. 22 w N. 12. **Haft** pośpieszny kolorowy na krzesło lub poduszkę do kanapy.

Na ryc. 22 podajemy w zmniejszeniu cały haft na poduszkę, robiony na suknie piaskowym, a na ryc 4 połowę deseniu w naturalnej wielkości, na którym do-



N. 4—5. Ubranie wizytowe.



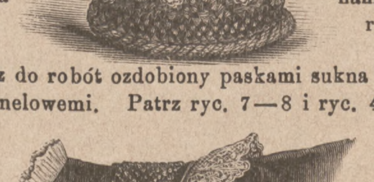
N. 7. Rozetka szenelowa do ryc. 6.



N. 6. Kosz do robót ozdobiony paskami sukna i rozetami szenelowemi. Patrz ryc. 7—8 i ryc. 42.



N. 8. Wykonanie rozetki ryc. 7.



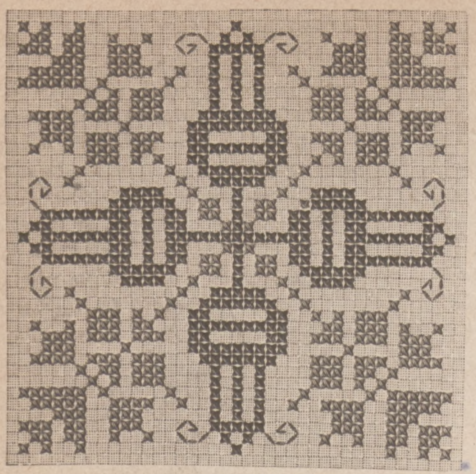
N. 10. Rękaw do ryc. 9.



N. 9. Stanik bawełowy z przesznurowanym plastronem.



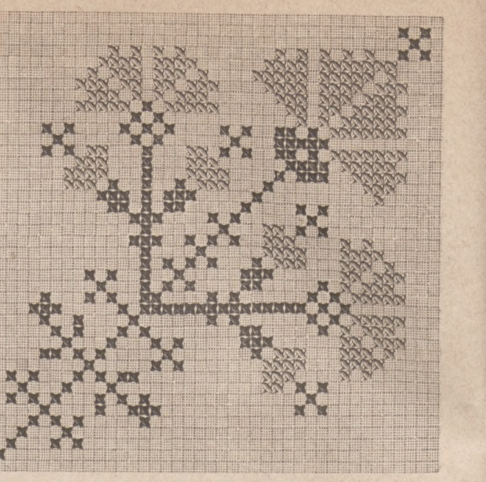
N. 11. Stanik z dodaną baskiną do ryc. 2 w N-rze 11. Patrz ryc. 28 w N-rze 11.



N. 12. Kwadracik wyszyty krzyżykami.

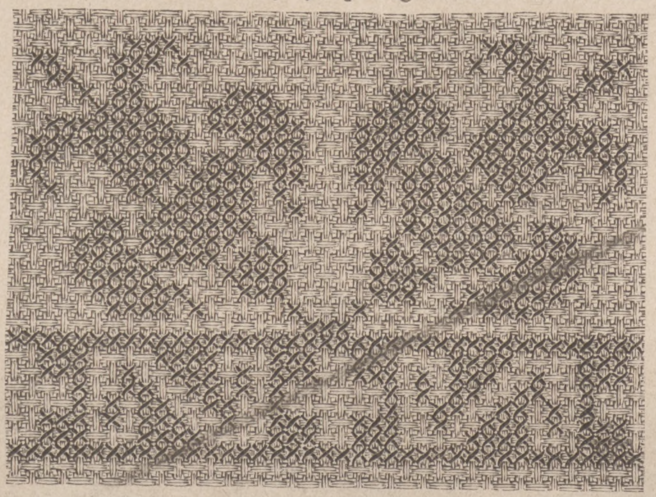


N. 14. Serwetka wyszyta podług wzoru z XVII wieku.

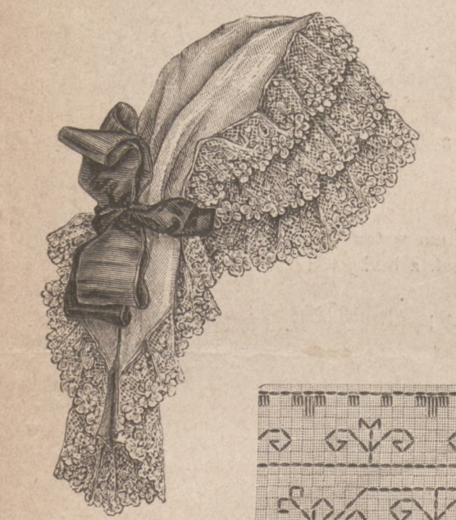


N. 13. Narożnik wyszyty krzyżykami.

kładnie wskazane są różne rodzaje pośpiesznych ściegów a kontury odznaczone podwójną nitką włóczki crevell, przeszywanej poprzecznemi ścieżkami potrójnej filozeli. Haft płaski robiony był na przemian kolorem bronzowym ciemnym bordo i niebieskim, a brzegi obrobione ściegiem sznureczkowym kolorem jasno niebieskim, filozelą trzynitkową. W dużych kwiatach ząbki zewnętrzne odznaczone są włóczką ciemno oliwkową, wewnętzne jasną bordo, skośne pojedyńcze ściegi między ząbkami, naprzemian filozelą jasno bronzową i niebieską. Ściegi stanowiące promienie koło chaftu płaskiego, kolorem słomkowym, duże liście w rogach odznaczone są włóczką ciemno czekoladową a zapełniane ściegami maisowego i paljowegokoloru. Arabeski wychodzące od dużych kwiatów środkowych w części oznaczonej na ryc. 22 kolorem ciemnym odznaczone były



N. 15. Szlak do serwety na kanwie Aida do ryc. 14.



N. 18. Czepeczek muślinowy.

włóczką ciemno bronzową a wyszyte ściegami niebieskiemi, jasne, górne części odznaczone włóczką orzechową a wyszyte filozelą żółtawo piaskową. W pozostałych figurach użyty był cień oliwkowo zielony z dodaniem pojedyńczych ściegów wyżej wzmiankowanemi kolorami filozeli.

N. 5 — 6. Dwie sukienki dla dziewczynek lat 6—8.

N. 5. Sukienka princesse z szerokiem plisowaniem.

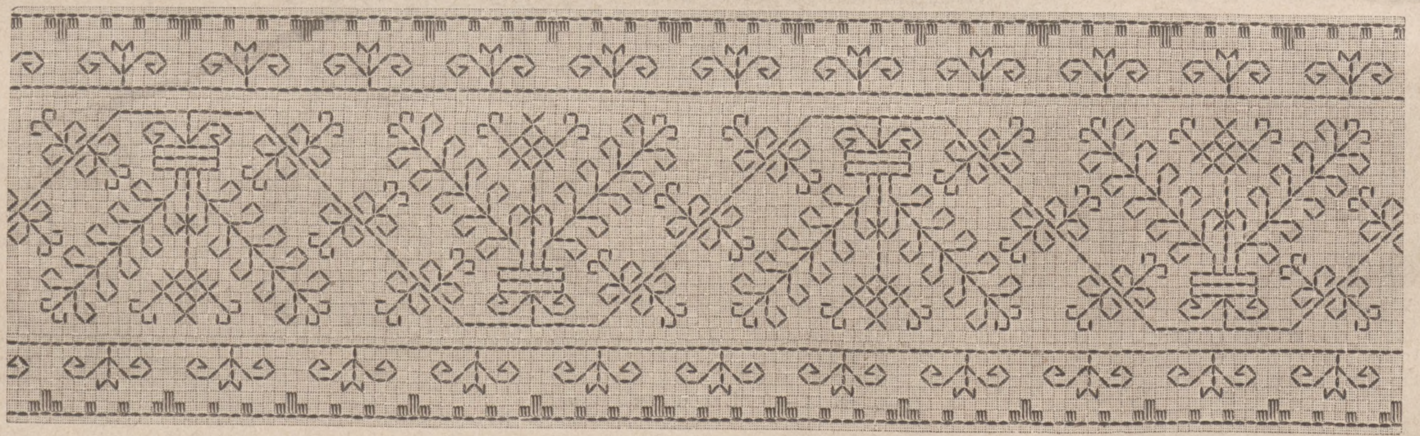
Odrobiona była z pledowego materyału w kratę, cała na podszewce; 20 cent. szeroka spódniczkowa plisowana falbana, ułożona była z podwójnie danego materyału. W bufki przemarszczany garnirunek 12 cent. szeroki, układa się ze skośnego, 18 cent. szerokiego kawałka. Przy plecach krajana jest razem dłuższa, w fałdy założona baskina, prawie całkowicie zakrywająca bufki, pod którą dodaje się przyfałdowany kawałek podszewki, służący do naszycia bufek i przyszycia plisowania. Wypustki ponsowe, guziki z konchy perłowej.

N. 6. Ubranie złożone ze spódniczki i paletocikowego stanika.

Odrobione było z oliwkowego wełnianego materyału, a przybrane takąż materyą deseniową.



N. 19. Czepeczek upięty z chusteczki.



N. 17. Szlak ściegiem jednakowym na dwie strony.

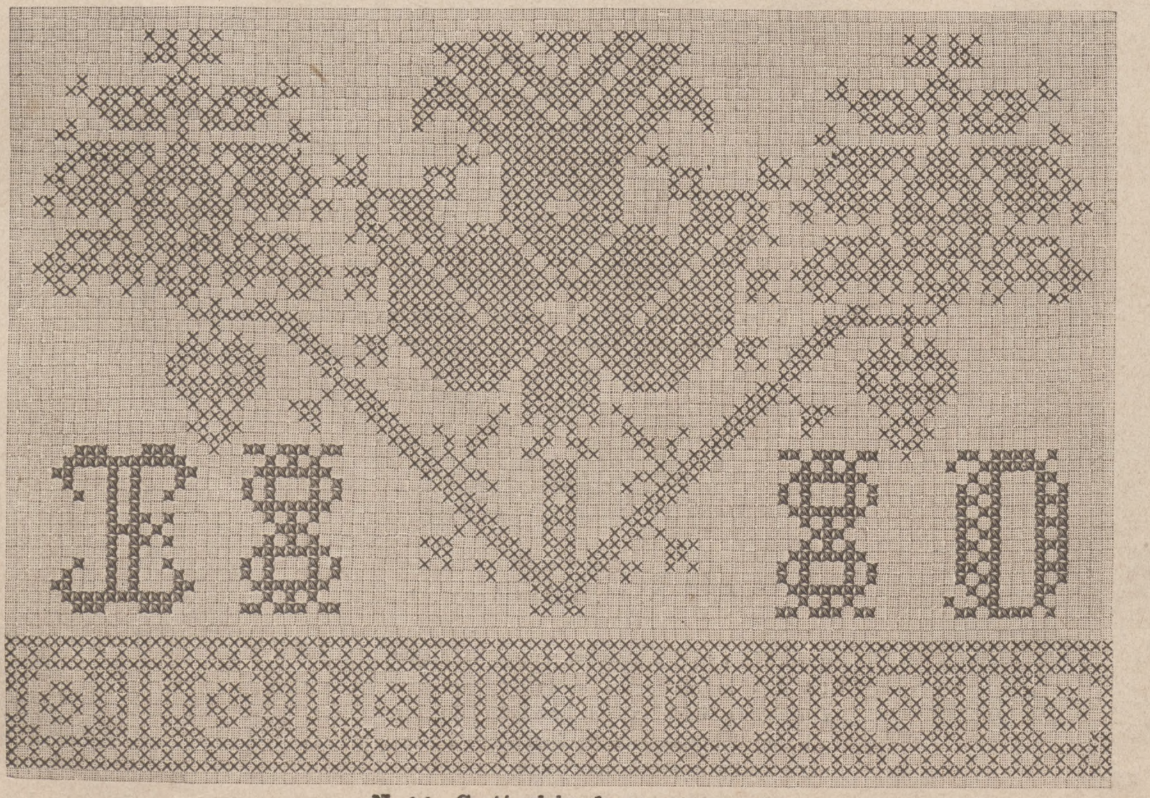
Spódniczka z przodu 50, z tyłu 52 cent. długa, u dołu 140 cent. szeroka, oszyta dwoma 9 c. szerokiemi, kilka razy przemarszczonemi falbankami, i dwoma 3 cent. szerokiemi plisami z materyi przerabianej w deseń różnokolorowy. Takąż materyą ubrany stanik 58 cent. długi.

N. 10. Suknia ze stanikiem z baskiną i krótką spódnicą ubraną draperyą.

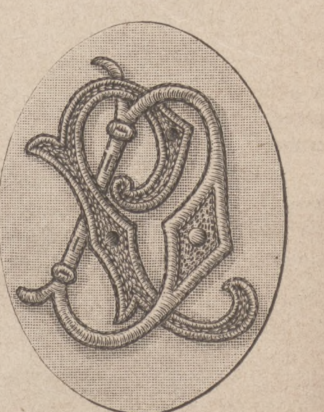
Odrobiona być może z mate-



N. 20. Monogram.



N. 16. Część szlaku do serwety ryc. 14.

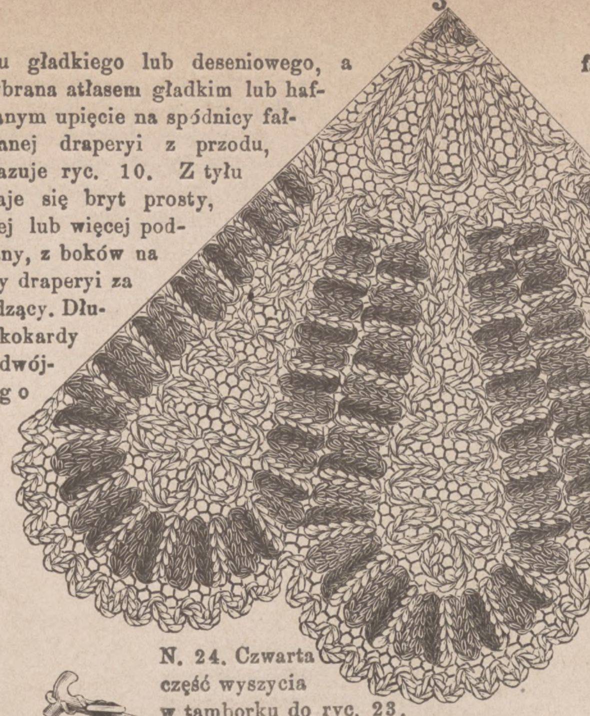


N. 21. Monogram.



N. 23. Kapelusz przykryty wyszywanem deneczkiem. Patrz rycina 24.

ryału gładkiego lub deseniowego, a przybrana atłasem gładkim lub haftowanym upięcie na spódnicy fałdowanej draperyi z przodu, wskazuje ryc. 10. Z tyłu dodaje się bryt prosty, mniej lub więcej podpinany, z boków na fałdy draperyi zachodzący. Długie kokardy z podwójnego atłasu mają końce ozdobione metalowem okuciem.



N. 24. Czwarta część wyszycia w tamborku do ryc. 23.

N. 11 i 21. Ubranie strojne z vêtement.

Przedni i boczne bryty spódnicy z długim trenem, krają się z podszewkowego muślinu, na którym następnie naszywa się materjał zwierzchni, przemarszczany w bufki. Dolna bufka falbankowo złożona, zachodzi na 9 cent. szerokie plisowanie nad którem na trenie dane są kokardy lub bufki z atłasu. Krótkie vêtement, z przodu stanowiące rodzaj panier, u dołu składa się z dwóch jedna na drugą zachodzących części. Z przodu dodany jest rodzaj kamizelki w bufki przemarszczanej, która zapina się w środku na kryte haftki. Układ tylnego bryta przyszytego pod baskiną pleców widoczny jest na ryc. 11. Model ryc. 21, odrobiony był z faille słomkowego koloru, a przyozdobiony girlandami kwiatów, fabrycznie tkanych w naturalnych kolorach, zwanemi „dentelle polychrome."



N. 26—27. Modne parasole.



N. 21. Koszyczek do robót r. 29.



N. 22. Haft ściegiem luźnym. Patrz ryc. 4 w N-rze 12.

N. 16 — 18. Ubranie z podpinaną tuniką.

Ubranie przedstawione na ryc. 16 i 17 odrobione było z czarnego kaszmiru i atłasu krótką spódniczkę na 54 cent. długości, garniruje się (jak na ryc. 16) 10 cent. szerokiem plisowaniem i trzema skośnemi falbankami, kilka razy w górze przemarszczanemi, albo też jak na ryc. 17 kilku wązkiemi falbankami. Tunikę której zmniejszony model i miary podajemy na ryc. 18, upina się na spódnicy z każdego boku odmiennie. Litera *a* przedstawia cały bryt przedni, z odmiennie oznaczonemi z każdej strony fałdami, które z jednego boku zaczynają się na 25 cent. od góry i skracają tunikę do 48 cent.; z drugiego boku zostaje w górze gładko 44 cent. od dołu fałdy zakładają się głębiej, a cała długość wynosi 61 centym. Prosty bryt tylny którego układ widzimy na r. 16 a miary podajemy na r. 18 lit. *b*, fałduje się w górze i wszywa w pasek razem ze spódnicą, z boków zakłada się w oznaczone fałdy i przyszywa odwracanym szwem do spódnicy. Na staniku zakończonym z tyłu krótką frakową baskiną, dane jest z przodu ubranie ze skośnego, 12 cent. szerokiego kawałka atłasu, na wcięciu w pasie przemarszczane, u dołu złączone długą kokardą i końcami z atłasu, z którego dany jest także kołnierzyk, mankiety przepięcie z boku i kokardy zakończone grelotkami, na frakowej baskinie, 8 cent. szeroka pasmanterya i 12 cent. szeroka frendzla, suto przerabiana dżetowemi paciorkami, zdobi stanik i tunikę.



N. 25. Kapelusz wyszywany dżetem. Patrz ryc. 29 w N-rze 11.



N. 30. Woreczek do robót ryc. 31—32.

N. 19. Chusteczka z indyjskiego muślinu oszyta koronką w deseń kolorowy, której próbkę podajemy na ryc. 1 w N. 12.

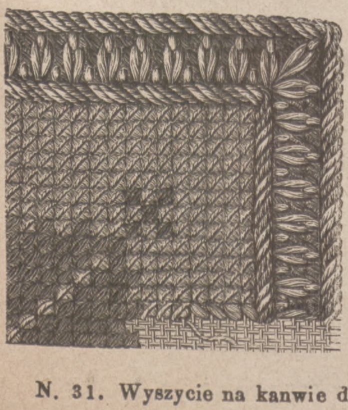
Trójkątna chusteczka miała wraz z 8 cent. szeroką koronką, 160 cent. długości w stronie skośnej, 90 w stronach prostych, a 50 cent. środkowej szerokości. Cienka niciana koronka, ozdobiona gipiurowemi kwiatkami, listkami i brzeżnemi ząbkami odrobionemi jedwabiem w jasnym kolorze, przyszyta jest gładko i zwężona stopniowo. Trzy cent. od dolnego brzega wszyta jest 4 centym. szeroka wstawka, także kolorowem wyszyciem ozdobiona, z pod której wycina się muślin.



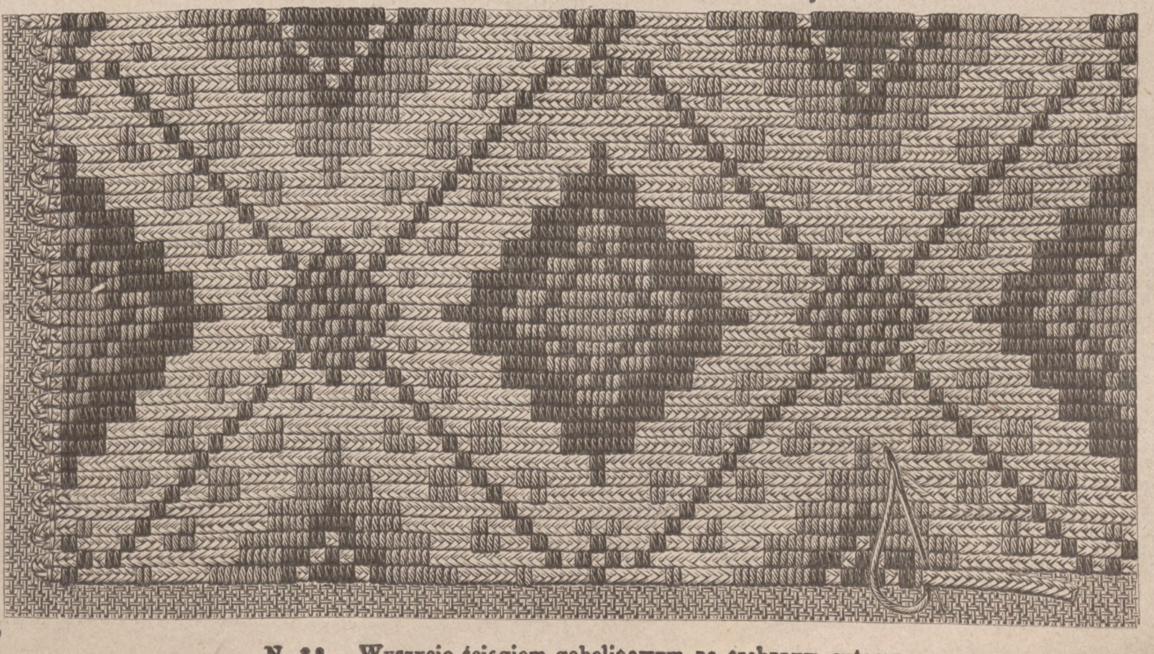
N. 29. Lambrekina do ryc. 21.

N. 20. Chusteczka z koronki ozdobiona nitką złotą.

Na taką chusteczkę trzeba 450 cent. cienkiej, złotą nitką wyszytej, 7 cent. szerokiej koronki, z której 130 cent. ukła-



N. 31. Wyszycie na kanwie do ryc. 30.



N. 33. Wyszycie ściegiem gobelinowym na srebrnym sutaszu.



N. 32. Wyszycie na kanwie do ryc. 30.

da się w pojedyncze kontrafałdy i przyszywa u dołu do paska tiulowego, 2 cent szerokiego a 76 długiego, stanowiącego podstawę chusteczki. Pozostałą koronkę układa się w kontrafałdy podwójne i przyszywa w górę koło szyi, a z przodu na skośnym kawałku muślinu w bufki przemarszczanym, naszywa się wachlarzowo i przepina w sposób wskazany na ryc. 20, kokardkami z wstążki atłasowej 2 cent. szerokiej kremowego koloru.



N. 35. Ubranie z długim kaftanikiem. N 36. Ubranie z kurtką i bluzką.



N. 34. Ubranie dla małego chłopczyka.

N. 24—26. Różne toaletowe przedmioty.

Rycina 24 przedstawia robioną ściśle, a ryc. 25 siatkową jedwabną długą mitenkę, wyszytą jedwabiem kolorowym i złotem, na tle czarnym lub tego co suknia koloru, jakie do toalet obiadowych i salonowych są obecnie modne. Na ryc. 28 dajemy sutą krezę z podwójnego iluzjowego tiulu w górze wywiedzioną nitką złotą i ozdobioną drobnemi muszkami ze szneli lub jedwabiu kolorowego, przez środek ozdobioną wązką złotem przerabianą wstążką. Ryc. 26 przedstawia szeroką spacerową krawatkę, kremowego koloru, ozdobioną haftem kolorowym i oszytą szeroką koronką.

(*d. n*).



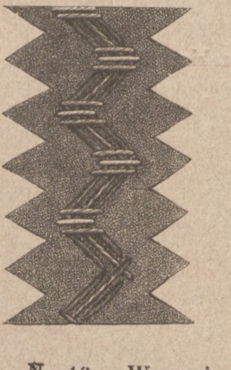
N. 37—38. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki.

N. 22. Ubranie balowe.

Biała tarlatanowa suknia ze stanikiem atłasowym, miała przód spódnicy suto zagarnirowany plisowanemi falbankami i bufkami z tarlatanu oraz rzędami pukielków i kokardami z białej atłasowej wstążki, 6 i 3 cent. szerokiej. Tylny bryt zręcznie podpięty kokardami, ozdobiony był lekkiemi girlandkami z fijołków.



N. 39. Kapelusz i mufka z materyi i koronki.



N. 42. Wyszycie na suknie do ryc. 6.



N. 40. Ubranie wizytowe.



N. 41. Ubranie wizytowe z vêtement. Patrz ryc. 12 i 13 N-